Nr 21
1. XII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Dziewczyna masajska, przedstawicielka „ludu bocianów" z okolic Kilimandżaro.

W DZISIEJSZYM NUMERZE: REPORTAŻ Z PIERWSZEJ PO WOJNIE WYPRAWY WYSOKOGÓRSKIEJ POLSKIEGO ALPINISTY INŻYNIERA WIKTORA OSTROWSKIEGO NA SZCZYTY **KILIMANDŻARO**

TRZECIEJ WOJNY NIE BĘDZIE

Gdy na sprawy międzynarodowe spojrzeć z punktu widzenia jednej z wielkich stolic europejskich, wyglądają one inaczej, niż się je widzi w Warszawie. Wojna pozostawiła nam tyle różnorodnych, codziennych kłopotów, że z trudem zdobywamy się na pewne ogólniejsze spojrzenie. Stąd też wynika, iż jesteśmy podatni na wszelkiego rodzaju plotki, których prawdziwości i rzetelności nie chcemy i nie mamy czasu sprawdzać.

A więc, jak naprawdę z punktu widzenia innego, niż róg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej, a więc powiedzmy z Paryża, wygląda sprawa trzeciej wojny.

Niewątpliwie w szeregu państw istnieją siły, dążące do niezwłocznego kontynuowania ledwo zakończonej walki. Siły te mają swe siedlisko przede wszystkim w Ameryce. W okresie drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone szeroko rozbudowały swój przemysł zbrojeniowy i lotniczy, uzyskały szereg baz lądowych i morskich we wszystkich częściach świata. I to wszystko według opinii pewnych kół kapitalistyczno - sztabowych USA stwarza dla tego kraju sytuację dogodną do podjęcia natychmiastowej rozgrywki. Byłaby to wojna ideologiczna skierowana przeciwko Związkowi Radzieckiemu i innym państwom Europy, które coraz mocniej wyłamują się spod władzy amerykańskiego kapitału i odrzucają zasady liberalnej gospodarki. Celem tej wojny miało by być faktyczne podbicie świata przez Amerykę, utworzenie nowej epoki amerykańskiej.

Te awanturnicze koła na zachodniej półkuli dla realizacji swoich pomysłów szukają pomocników i sojuszników przede wszystkim w Europie, w tej starej Europie, która znów miałaby stać się polem bitwy.

Najważniejszym oczywiście momentem strategicznym jest przyczółek Europy, którym są Wyspy Brytyjskie. Pamiętna fultońska mowa Churchilla, będąca czymś w rodzaju pierwszego manifestu trzeciej wojny, miała za zadanie zbliżenie między angielskim a amerykańskim punktem widzenia na zagadnienie nowej rozgrywki międzynarodowej.

Zbliżenie to nie jest łatwe. Dla Imperium Brytyjskiego nie ma już bowiem więcej wojen wygranych. Każda wojna przynosi mu tylko utratę znaczenia wysp macierzystych, rozluźnienie więzi między nim i dominiami oraz nowe zamieszki i zaburzenia wśród wyzwalających się ludów kolonialnych. Wynika to z natury i z istoty Imperium Brytyjskiego, które w okresie po pierwszej wojnie światowej ukształtowało się jako związek celny państw połączonych wspólną tradycją, kulturą i symbolem monarchy. Sam Churchill powiedział niegdyś, iż dominia nie odpadają od korony dlatego tylko, iż należenie do brytyjskiej Wspólnoty Narodów jest dla nich dobrym interesem. Zniszczenie przemysłu angielskiego, zatracenie większości floty handlowej i ogólne zubożenie Wysp powoduje, iż należenie do Wspólnoty Narodów staje się interesem coraz gorszym. I odwrotnie— gdy słabnie siła przyciągania Wysp Brytyjskich, rośnie równocześnie gospodarcza potęga Stanów Zjednoczonych i ich oddziaływanie na dominia angielskie, z których jest nieraz bliżej do Waszyngtonu niż do Londynu.

Błędem zasadniczym, który popełniamy przy ocenie sytuacji politycznej jest fakt, że nie bierzemy pod uwagę nowych decydujących okoliczności. W wyobraźni naszej Wielka Brytania żyje nadal tradycją setek lat swej historii jako największa potęga morska świata. Tymczasem w toku wojny ostatniej Anglia tą potęgą być przestała, a największą flotę handlową świata posiadają dziś Stany Zjednoczone. Stąd też — niezależnie od wszystkich innych przyczyn — głęboka niechęć rozsądnych Brytyjczyków do nowej wojny, która mogłaby Anglię tylko jeszcze bardziej osłabić i zubożyć. To oczywiście nie są argumenty dla ludzi pokroju Churchilla, dla których sprawa powstrzymania postępu społecznego jest ważniejsza od wszystkich innego.

Dla niektórych Polaków patrzących z perspektywy Warszawy, bomba atomowa jest potężnym argumentem w rękach Stanów Zjednoczonych, argumentem, który daje im decydującą przewagę w obecnym świecie. Tutaj bowiem traktujemy energię rozbitego atomu jako coś w rodzaju silniejszego dynamitu ekrazytu czy też inną nową materię wybuchową. W rzeczywistości jednak rozbicie atomu nie jest wynalazkiem technicznym, ale odkryciem naukowym, które zadecydować może o dalszym biegu życia na ziemi. Bomba atomowa jest bronią dyplomatyczną, narzędziem szantażu i prób straszenia innych państw.

Bomba atomowa jako broń wojenna nie posiada znaczenia. Niewątpliwie istnieje i niewątpliwie już dzisiaj jest bardziej udoskonalona i mocniejsza wielokrotnie od tej, która padła na Hiroszimę. Tyle tylko, że jej działanie jest nadal nieodgadnione. Prawdą jest, iż w czasie eksperymentów na Bikini użyto bomb bardzo słabego kalibru atomowego. I to nie dlatego, by — jak sądzą niektórzy — nie pokazać obserwatorom, jak silną bronią rozporządzają Stany Zjednoczone.

Było inaczej. Było naprawdę tak, że uczeni i wojskowi amerykańscy obawiali się użycia silnej atomowej bomby głębinowej, nie mogąc przewidzieć, jakie w rzeczywistości będą jej skutki. Wiadomym jest, iż bomba atomowa, padająca w okolicy złóż uranu, wywołałaby szereg wybuchów łańcuchowych, powodujących kosmiczną katastrofę. W jakich warunkach jeszcze tę kosmiczną katastrofę wysadzenia ziemi z orbity spowodowałby wybuch bomby atomowej — tego żaden uczony nie umie przewidzieć. Odwrotnie: wielu z nich przestrzega, iż użycie tych nowych pocisków śmiercionośnych może przynieść nie zwycięstwo temu, co tajemnicę produkcji posiada, ale klęskę powszechną, której rozmiaru nie można sobie ani wyobrazić, ani przewidzieć.

Bomba atomowa stanowi więc nie siłę ale słabość USA, jest ona wielką pokusą dla wszelkich wojowniczych temperamentów, teoretycznie bowiem daje możliwość łatwego podboju świata. Ale jest to tylko teoria, któż bowiem zaręczy sztabowi generalnemu, że jego zwycięstwo nie będzie się święciło na wymarłym ziemskim globie, wytrąconym ze swej orbity i dążącym na skutek działania wybuchów atomowych po nowej międzyplanetarnej drodze ku nowym przeznaczeniom?

I to nie jest już sfera fantazji Juliusza Verne lub Jerzego Żuławskiego. To jest realna możliwość, przed którą postawił nas postęp techniczny i rozwój nauki, a czego nie rozumiemy jeszcze całkowicie, czego nie ogarniamy jeszcze swoim umysłem.

Ale dlatego właśnie trzeciej wojny nie będzie. Można mówić — jeśli ktoś jest pesymistą — o możliwości atomowego samobójstwa ludzkości, w to bowiem niewątpliwie zamieniłaby się trzecia wojna, gdyby ktokolwiek zechciał ją spowodować i wziąć na siebie szaleńcze ryzyko wszystkich skutków wynikających z użycia broni, której działanie jest nieodgadnione.

A więc cóż pozostaje? Pozostaje pokój. Nie tylko jako najgorętsze pragnienie ludów, ale jako konieczność życia, gdyż przy obecnym rozwoju techniki nie ma dla człowieka życia poza pokojem. A więc współdziałanie państw i narodów, gdyż walka połączona jest z groźbą zatracenia rodu ludzkiego.

Zbigniew Mitzner

Francja odnajduje swoje arcydzieła

W czasie okupacji niemieckiej Francja ograbiona została z wielu dzieł sztuki i pamiątek narodowych, które częściowo, tak jak i nasze zabytki, odnajdują się na terenie Niemiec, ukryte przez różnych dygnitarzy hitlerowskich. Powrót odnalezionych skarbów kultury narodowej wywołuje wielkie zainteresowanie i zadowolenie społeczeństwa francuskiego. Ostatnio w Paryżu w pawilonie „Orangerie" otwarta została wystawa pod nazwą „Odnalezione arcydzieła", która cieszy się olbrzymim powodzeniem.

Odwiedzający mają okazję obejrzenia wielu znanych, lecz rzadko wystawianych dzieł sztuki. Ogólną uwagę zwracają obrazy malarza Renoira Pierre Auguste (1841—1919), jednego z głównych przedstawicieli francuskiego impresionizmu. Główne jego dzieła: „Pani z parasolką", „Dziewczynka przy fortepianie", „W loży", „P. Charpentier z dziećmi" itp., jeszcze za życia artysty spotkały się z ogólnym uznaniem na wystawach w Londynie, New Jorku i Berlinie.

Poniżej reprodukujemy jego obraz pt. „Portret Ireny Cohen O'Auvers", odnaleziony w strefie amerykańskiej, w zbiorach prywatnych Hitlera.



JEDNOMANDATOWE STRONNICTWO

W ostatnich wyborach do Kongresu amerykańskiego jeden mandat do Izby Reprezentantów uzyskała Partia Pracy, a jeden mandat do Senatu postępowiec. Nie znaczy to, że cała reszta Senatu jest reakcyjna, a tylko jeden senator jest postępowcem. Znaczenie jest o wiele głębsze, gdyż ten jeden senator, występujący pod firmą postępowca oznacza jakieś nowe ugrupowanie polityczne, kto wie, czy nie to samo, które wysłało do Izby Reprezentantów jednego przedstawiciela pod firmą Partii Pracy. Czy jest to objaw koniunkturalny, czy też początek nowego ruchu politycznego w Stanach Zjednoczonych—trudno dziś przewidzieć. O jego trwałości zadecydują zapewne następne wybory, za dwa lata.

W każdym razie dziś już przyczyn tego zjawiska szukać należy w pewnym rozbiciu partii demokratycznej na radykałów i zachowawców. Bogaci plantatorzy ze stanów południowych są tradycyjnymi demokratami, podobnie, jak i członkowie radykalnych związków zawodowych w stanach przemysłowych. A przecież tych ludzi nie łączy nic z sobą, a wszystko rozdziela. Zmarły prezydent Roosevelt umiał stworzyć z tych sprzecznych żywiołów pewien amalgamat, który obecnie grozi ponownym rozkładem. Wszak Byrnes i Wallace są członkami jednego stronnictwa, a jednak istnieją między nimi zasadnicze różnice polityczne.

Kraje anglosaskie są typowym terenem systemu dwupartyjnego. Nawet dominia brytyjskie zachowały ten system. W Anglii powstała wprawdzie w okresie rosnącego uprzemysłowienia i proletaryzacji partia trzecia, Partia Pracy wyrosła ze związków zawodowych, ale za to obserwujemy w tej chwili zanik partii liberalnej, co sprowadza Anglię ponownie do systemu dwupartyjnego. W Stanach Zjednoczonych natomiast, mimo istnienia związków zawodowych, masy robotników, rzemieślników, drobnych mieszczan i kupców nie posiadają własnego przedstawicielstwa w Kongresie, mimo wysokiego stopnia uprzemysłowienia. Próba La Folette'a przed kilku laty wytworzenia samodzielnego ruchu radykalnego wśród masy drobniaków amerykańskich nie powiodła się. Czy powiedzie się inna próba tym razem?

A. T.

WALKA O ŻYCIE I ŚMIERĆ HITLERA

(Dokończenie)



Proces feldmarszałka von Witzleben, uczestnika spisku na Hitlera.

O jedenastej przyjmował swego pierwszego adiutanta, który mu referował sprawy personalne. W południe, punktualnie o dwunastej rozpoczynała się „odprawa sytuacyjna", w czasie której szefowie sztabu Wehrmachtu i armii lądowej składali sprawozdania. Innych oficerów wzywano w miarę potrzeby. W czasie tych odpraw Hitler rozstrzygał osobiście wojskowe zagadnienia. O drugiej zasiadano do obiadu, który ze względu na zamiłowanie Hitlera do wygłaszania monologów przeciągał się zazwyczaj do czwartej. Potem Hitler udawał się na drzemkę poobiednią, która trwała do szóstej lub siódmej. Następnie udzielał audiencji o znaczeniu reprezentacyjnym. Kolację podawano o ósmej, ciągnęła się do dziesiątej.

„Tylko ktoś biorący udział w tych nocnych rozmowach lub mający dostęp do odpraw sytuacyjnych mógł wykonać zamach. Tylko człowiek, który sam nosił rewolwer i robił z niego użytek, może ocenić jak trudno zastrzelić kogoś nawet wówczas, gdy nie przedsięwzięto żadnych środków ochronnych.

20 lipca 1944 r.

Schlabrendorff pisze dalej:

„Przy badaniu osób, które wchodziły w rachubę dla dokonania zamachu okazało się, że również ludzie, którzy kilkakrotnie wyróżnili się odwagą w czasie wojny, nie wierzyli, że są w stanie dokonać tego czynu. Np. trzydziestoletni podpułkownik von Boeselager, odznaczony za waleczność krzyżem kawalerskim z liśćmi dębowymi i mieczami, odmówił, tłumacząc, że nie jest pewny siebie, ale jest gotów zaatakować kwaterę Hitlera na czele swojego pułku... Inny, niejaki porucznik von Haeften, adiutant Stauffenberga, uważał, że wobec prawdopodobieństwa, że przy zamachu na Hitlera zostaną zabite również inne osoby, jego chrześcijańskie sumienie nie pozwala mu na wykonanie zamachu. Wreszcie generał Stieff wraz ze swymi współpracownikami, majorem Kuhnem i porucznikiem von Hagen podjęli się wykonania zamachu. Po pewnym zastanowieniu generał Stieff uznał jednak, że zabranie środków wybuchowych do sali obrad jest niemożliwe".

Spiskowcy rozważali próbę zamachu z okazji pokazu nowego modelu munduru. Usiłowali ściągnąć Hitlera do kwatery polowej jednego z marszałków należących do spisku, aby na miejscu w dogodniejszych warunkach dokonać zamachu. Plany te rozbijały się kolejno o trudności techniczne i o nieufność Hitlera, który nie dawał się wywabić z kwatery głównej. Tymczasem sytuacja militarna Niemiec pogorszyła się znacznie, zwiększały się również środki ostrożności stosowane przez otoczenie Hitlera. Wszystkie przyjęcia odbywały się w obecności kilku SS-owców, tak, że zdaniem spiskowców, nie udałoby się nawet sięgnąć do kieszeni po rewolwer. Front wschodni kruszył się z dnia na dzień, a 6 czerwca 1944 roku nastąpiła dawno oczekiwana inwazja. W ścisłym kręgu spiskowców zdecydowano, że zamach musi być wykonany za wszelką cenę. Na wypadek niepowodzenia miano mimo to rozpocząć przewrót wojskowy. Porozumiano się ze sztabem marszałka Rommla, aby przez fałszywe dyspozycje otworzyć wyrwę w froncie zachodnim, umożliwiając aliantom przerwanie się w głąb Francji. Miało to stworzyć sprzyjający nastrój w społeczeństwie. Odpowiedź jaka nadeszła z kwatery Rommla była niedwuznaczna: sztuczne utworzenie wyłomu jest niepotrzebne, alianci już sami go zrobili.

W tym czasie, dokładnie 1 lipca 1944 r. Stauffenberg został mianowany szefem sztabu generała Fromma, dowódcy tzw. armii zapasowej tj. wojsk stacjonowanych na terenie samej Rzeszy. W tym charakterze uzyskanie dostępu do codziennych odpraw sytuacyjnych nie przedstawiało trudności. Mimo, że Stauffenberg był centralną figurą wojskowego spisku, zdecydowano, że ma wykonać zamach.

Claus Schenk Graf von Stauffenberg utracił w walkach na terenie północnej Afryki oko, prawą rękę i dwa palce u lewej ręki. Ten inwalida miał dokonać zamachu, który o mały włos nie zmienił całego przebiegu ostatnich miesięcy wojny.

Oddajemy głos Schlabrendorffowi:

„Prawie całą pierwszą połowę lipca Hitler spędził w Obersalzberg koło Berchtesgaden. Główna kwatera znajdowała się już w stadium przeprowadzki z Prus Wschodnich do Zossen pod Berlinem. Gdy Stauffenberg został wezwany do wzięcia udziału w odprawie sytuacyjnej w Obersalzberg dnia 11 lipca 1944 r., postanowił dokonać zamachu".

„Poleciał specjalnym samolotem z Berlina, zabierając ze sobą przygotowaną w teczce angielską bombę. Zamierzał po zakończeniu swego referatu uruchomić zapalnik czasowy i pozostawić tekę na miejscu. Zabrał ze sobą młodego kapitana, którego zadanie miało polegać na zapewnieniu Stauffenbergowi możliwości nieskrępowanego odlotu po dokonaniu zamachu. 11 lipca 1944 r. człowiek najniebezpieczniejszy po Hitlerze — Himmler nie był obecny. Z tego względu Stauffenberg postanowił zaniechać wykonywania zamachu".

„Bezpośrednio potem Hitler ponownie przeniósł swoją kwaterę do Prus Wschodnich. Następna odprawa sytuacyjna, na którą wezwano Stauffenberga, miała miejsce 15 lipca. Stauffenberg ponownie zabrał ze sobą bombę. Tym razem zarówno Hitler jak i Himmler byli obecni. Stauffenberg miał już nacisnąć zapalnik, gdy Hitler niespodziewanie opuścił pokój obrad. I tym razem trzeba było zaniechać zamachu.

„Następna odprawa sytuacyjna, do której Stauffenberg miał dostęp, została wyznaczona na 20 lipca. Po raz trzeci poczynił swoje przygotowania. W czasie rozmów, które odbyły się w międzyczasie z generałem pułkownikiem Beckiem zdecydowano, że tym razem zamach musi być bezwzględnie wykonany nie zważając na to, że inne ważne osobistości znajdują się w jego otoczeniu.

„Kwatera Główna Hitlera w Prusach Wschodnich była otoczona trzema kordonami kontrolnymi, które można było przekroczyć jedynie za okazaniem specjalnych przepustek, przy czym dla każdego kordonu obowiązywała inna przepustka. Te same formalności obowiązywały przy wychodzeniu z kwatery. Gdy Stauffenberg przebył dnia 20 lipca na krótko przed godziną dwunastą, ostatni kordon bezpieczeństwa, przekonał się z niemałym zdziwieniem, że codzienna odprawa nie odbędzie się jak zwykle w wielkim bunkrze betonowym, lecz w budynku, którego ściany były częściowo z drewna.

„Hitler był obecny, jak również wiekszość osób, które zwykle uczestniczyły w odprawach. Nie było jedynie Himmlera i Goeringa. Hitler siedział przy wąskim końcu stołu. Bezpośrednio po jego prawej ręce siedział Stauffenberg. Około godziny pierwszej zakończył swój referat o rezerwach i mógł opuścić salę. Zgodnie z planem uruchomił zapalnik i oparł swoją tekę, w której znajdowała się bomba, o nogę stołu między swoim krzesłem a krzesłem Hitlera. Ale po opuszczeniu pokoju przez Stauffenberga Hitler podniósł się i przeszedł na drugą stronę pokoju do wielkiej mapy ściennej. Wybuch nastąpił w chwili, gdy stał obok tej mapy.

„Okoliczność, że ściany pokoju były po części z betonu, a po części z drzewa spowodowała, że cały pęd powietrza wywołany przez wybuch, znalazł ujście przez lekką zaporę drewnianą. Gdyby eksplozja nastąpiła w bunkrze betonowym, z którego zazwyczaj korzystano, powietrze nie znalazłoby ujścia i jego ciśnienie zabiłoby wszystkich obecnych. Tak jednak wielu



gen. Henning von Tresckow.

obecnych wyleciało na dwór przez rozwalającą się drewnianą ścianę. Większość uratowała się. Co prawda zostali poranieni, odnosząc lżejsze i cięższe oparzenia i rany tłuczone. Cztery osoby umarły od skutków zamachu: stenograf Hitlera, Berger, główny adiutant Hitlera, Schmidt, pierwszy oficer sztabowy oddziału operacyjnego naczelnego dowództwa pułkownik Brandt i szef sztabu lotnictwa generał pułkownik Korten. Hitler znajdował się w liczbie tych, których ciśnienie powietrza wyrzuciło z pokoju.

„Gdy pierwsze przerażenie wywołane wybuchem minęło, okazało się, że działanie bomby było znacznie słabsze, niż można było przypuszczać. Sam Hitler był tylko lekko ranny. O ile wiadomo—pisze Schlabrendorff, odniósł tylko lekką ranę prawej ręki, poza tym zaś miał kilka oparzeń i potłuczeń na ciele.

„Stauffenberg po opuszczeniu pokoju zatrzymał się w pobliżu, czekając, aż wybuch bomby przerwie ciszę panującą w całej kwaterze głównej. Widział, jak przez wyrwaną ścianę wylatują okrwawione ciała uczestników narady, a wśród nich również Hitler. Widział, jak sanitariusze rzucili się na ratunek i dźwigali rannych na noszach. W przeświadczeniu, że bomba wykonała swoje zadanie, odjechał przygotowanym autem na lotnisko. Nie czekając dłużej odleciał specjalnym samolotem do Berlina, by zająć swoje kierownicze stanowisko w organizacji przewrotu".

Dalszy przebieg nieudałego puczu jest zbyt dobrze znany, by go powtarzać. Wszyscy znaczniejsi uczestnicy spisku wykazali w realizacji puczu wojskowego tę samą chwiejność, jaka cechowała ich w przygotowaniach i przypłacili to życiem.

Na podstawie książki F. Schlabrendorffa „Offiziere gegen Hitler" — opracował

Władysław Pawlak

Czy „Tydzień" jest jeszcze pismem katolickim

Felieton niniejszy będzie bardzo osobisty, ponieważ poświęcę go polemice i złożę w nim wyznanie wiary. Od pierwszego numeru „Tygodnia" pisuję w nim felieton. Jest to rubryka poniekąd stała. Byłbym szczęśliwy, gdyby się znalazła pewna ilość czytelników, którzy moje felietony czytują — cóż bowiem, mówiąc bez fałszywej skromności, może być dla autora większą nagrodą, niż to, że są ludzie, którzy go czytają? Niekiedy wydaje mi się, że mam takich czytelników, ponieważ dostaję czasem listy przyjemne. Myślę też czasami, że czytelnik na podstawie moich felietonów może powziąć o mnie niejakie wyobrażenie: może się przekonać, z kim — jak to się mówi — ma okoliczność, o zacz jestem. Bo czytelnik ma prawo żądać od autora szczerości. Autor natomiast, pisząc — o ile to jest możliwe — tak, jak czuje i myśli, i nie schlebiając bynajmniej czytelnikowi, ma prawo żądać od niego, aby się starał autora zrozumieć. Czytelnika i autora powinnoby łączyć obcowanie duchowe, zasadzające się na wzajemnej lojalności. Niekiedy jednak czytelnik nie chce czy nie umie wnikać w to, co czyta, i rozumie pewne rzeczy nie tak, jak należy. Zastanawiałem się już nad tym w felietonie „Umiejętność czytania" („Tydzień" Nr. 9 z dn. 8.IX). Gdy się zetknę z niezrozumieniem, szukam nasamprzód przyczyn jego w sobie samym: może nie dość dobrze i wyraźnie piszę? Staram się poprawić, bo przecie każdy z nas dąży do doskonałości. Ale pisanie jest rzeczą trudną, znacznie trudniejszą od mówienia (verba volant, scripta manent), i nie zawsze się udaje, bo każdy z nas jest ułomny. Wszelako mimo trudności, usiłuję pisać zawsze tak, żeby za to, co piszę, brać odpowiedzialność, i żeby się tego nie wstydzić. Chyba, że mi popsuje szyki tzw. siła wyższa, na przykład „chochlik drukarski", zła korekta, która coś zniekształci.

Po tym wstępie przystąpię do rzeczy. Gdyby mię zapytano, jaki jest mój stosunek do rzeczywistości powojennej i do rzeczywistości polskiej, jaka jest moja postawa „filozoficzna" wobec niej — powiedziałbym: jestem zwolennikiem równowagi. Pod pewnym względem mogę siebie określić jako wyznawcę Hegla. Wulgaryzując nieco jego filozofię, powiem, że życie rzeczywistości waha się pomiędzy tezą (twierdzeniem), antytezą (przeczeniem) i syntezą, która chce godzić sprzeczności. Jestem człowiekiem, który pragnie syntezy. Mówiąc językiem prostym, językiem Sokratesa i stoików, uważam, że jeśli istnieją cztery cnoty — roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie i męstwo — najważniejszą z nich jest Umiarkowanie, Temperantia czyli, sokratycznie ją mieniąc — Enkrateia. Synteza i Umiarkowanie — oto piękno rzeczywistości. Harmonia.

Teraz przejdę do polemiki, o której napomknąłem na początku. W numerze 13-tym „Tygodnia" napisałem artykuł pt. „Majdanek przeobrażony". Był to rodzaj reportażu z Majdanka dzisiejszego, gdzie powstało „muzeum martyrologii", które — jak mi się wydawało — zaczyna nabierać charakteru turystycznego: porównałem je ze smutkiem do paryskiego „Musée Grévin", gdzie za opłatą kilku franków można oglądać okropności. Więc zakończyłem reportaż refleksją: „Aby uchronić Majdanek przed sensacją, trzebaby wprowadzić weń jakiś czynnik wysoki. Widziałem tam taką kontrastową scenę: w palenisku jednego z pieców krematoryjnych leżał pęk kwiatów, a przed paleniskiem klęczała stara kobieta, zatopiona w modlitwie; obok kręcili się ludzie w czapkach na głowach i rozmawiali głośno. Nie jestem religiantem ani praktykującym wyznawcą kościoła. Jestem filozofującym chrześcijaninem. I myślę, że Majdanek jest bądź co bądź cmentarzem. Czy ja wiem? Możeby wystawić na nim kilka świątyń — grobowców tych wyznań i kościołów, których członkowie ginęli tutaj, nieraz zapewne z modlitwą na wargach: świątynię katolicką, protestancką, prawosławną, żydowską, mahometańską? Takie świątynie... wzmocniłyby symbolikę Majdanka, przydałyby mu wzniosłości i majestatu, które może stopniowo zatracić w zgiełku ciekawych turystów". Odczytuję te uwagi teraz, parokrotnie i z namysłem, i zdaje mi się, że są napisane po ludzku i po chrześcijańsku — tj. z miłością bliźniego. Tymczasem od pewnego księdza a do tego doktora (teologii) otrzymuję oto list treści następującej:

„Chciałbym bardzo wiedzieć czy „Tydzień" uwzględnia zasady, prawdy Chrystusowe takie, jakimi one są, czy też każdy z autorów kieruje się swoimi jakiemiś religijnymi dziwolągami, nieposiadającymi żadnego uzasadnienia naukowego. Oto przykład; w artykule o Majdanku wyraża się pan: a) „nie jestem religiantem". Takiego określenia nauka Chrystusowa, teologia nie zna. Jakie jest znaczenie tego wyrazu? 2) „Jestem filozofującym chrześcijaninem". To zdanie świadczy, że jego autor nie orientuje się wcale w podstawach religii chrześcijańskiej jako nauki. Pan zapewne mniema, że wypowiedział coś mądrego, a tymczasem — to naukowa bzdura".

Po przeczytaniu tego listu zrobiło mi się smutno. Przypomniała mi się owa katolicka hrabina sprzed pół wieku, o której pisze Boy w swych wspomnieniach krakowskich. Pewnego roku „Czas" nie ogłosił listy hrabin katolickich kwestujących przed Wielkanocą w kościołach. Hrabina — dotknięta w swych uczuciach religijnych — zatelefonowała wzburzona do redakcji „Czasu": „Chciałabym bardzo wiedzieć, czy „Czas" jest jeszcze katolickim pismem?"

„Chciałabym bardzo wiedzieć"... Ksiądz doktór zaczyna swój list identycznie. Pół wieku minęło, a jednak natura ludzka się nie zmienia. Hrabinę oburzyło religijnie to, że nie wydrukowano jej nazwiska. A księdza doktora? Może to, że ja — w swych uczuciach chrześcijańskich — chciałbym wznieść pięć świątyń różnych wyznań na Majdanku? Ksiądz doktór nazywa to „religijnymi dziwolągami" i „naukową bzdurą" (chyba bzdurą z punktu widzenia nauki, bo **naukowych bzdur** być nie może). I stwierdza, że „nauka Chrystusowa, teologia" (moim zdaniem, nauka Chrystusowa i teologia, to rzeczy różne) nie zna pojęcia „religiant". Ale zna je język. W słowniku Karłowicza (tom V, strona 511) znajdzie ksiądz doktór następujące wyjaśnienia: „**Religiant** — człowiek religijny, zachowujący ściśle zasady religii i przepisy kościoła, dewot, bigot... **Religiantyzm** — cecha, charakter religianta, dewocja, bigoteria". Zdaje mi się, że miałem rację, mówiąc, iż nie jestem religiantem. Jestem natomiast tolerantem. Religiantem jest ksiądz doktór. O szkodliwości religiantyzmu pomówimy w następnym felietonie.

Jerzy Wyszomirski

W sercu „CZARNEJ“ ANGLII

(Korespondencja własna)



Dzielnica domów robotniczych („slumsów“) w jednym z przemysłowych ośrodków Anglii.

Węgiel, żelazo, wełna

Zapada wieczór, gdy wiozące nas samochody z nagich, pokrytych wrzosowiskami i przed chwilą jeszcze oświetlonych słońcem wzgórz penińskich (Pennin Chain) zjeżdżają w leżący u ich podnóża, przemysłowy okręg największego w Anglii zagłębia węglowego z miastami: Sheffield Wakefield, Leeds, Bradford.

Jest szaro i z ciemniejącego mroku po obu stronach szosy wyrasta długi rząd jednakowych, ceglanych domów szeregowych, których złowrogą monotonię przerywa co czas jakiś tylko zadowolony uśmiech brodatego marynarza z kolorowej reklamy papierosów Playersa lub tragiczna twarz wdowy w czerni, której melancholijny obraz ma za zadanie przestrzec kierowców przed nadmiernie szybką jazdą.

Ulice są słabo oświetlone i puste. Jest niedziela wieczór, i długie kilometrami ciągnące się robotnicze i fabryczne przedmieścia paruset tysięcznych skupisk ludzkich, przedzielonych od siebie niewielką przestrzenią kilku lub kilkunastu mil zdają się być zupełnie wymarłe. Tylko gdzie niegdzie wiozące nielicznych pasażerów piętrowe autobusy wśród fabrycznych murów wyglądają jak pływające wyspy światła. Jest 8-ma, gdy dojeżdżamy do śródmieścia Leeds, miasta półmilionowego, faktycznej stolicy prowincji Yorkshire, wielkiego centrum przemysłu najrozmaitszych dziedzin, przede wszystkim metalurgicznego i włókienniczego.

Wszystko to stworzył wiek XIX

Typ średniego i dużego miasta przemysłowego w Anglii, czy to będzie Nottingham, Leeds, Birmingham, czy też Bradford jest w zasadzie bardzo szablonowy. I żadne z tych miast nie ma charakteru w tym stopniu indywidualnego, co na przykład miasta we Francji, Włoszech czy Polsce. Wszystkie powstały w połowie ubiegłego stulecia, składają się z centrum, pełnego ciemnych, ciężkich i bryłowatych gmachów publicznych, urzędów i banków, oraz szerokiego wieńca przedmieść — bogatszych, gdzie stoją domki z ogródkami i biedniejszych, gdzie stoją szeregowe domy robotnicze — bez ogródków.

Żadne z nich nie ma godnych uwagi zabytków sztuki, ani uroczych zakątków, w jakie obfitują małe angielskie miasteczka, przede wszystkim starożytne miasta katedralne: Canterbury, Chester, Ely, Gloucester, Lincoln, Durham, Salisbury, Winchester, York i słynne miasta uniwersyteckie: Cambridge i Oxford. Wszystkie mają „city“ pełne bogatych i szczelnie zapełnionych towarem sklepów, wielkie kolorowe reklamy, piętrowe autobusy, kina i wiktoriańskie budowle, i wszystkie pod tym względem przypominają jakiś, mniejszy lub większy, nieokreślony kawałek Londynu.

Każde z tych miast to nie tylko centrum przemysłu, ale także wielkie skupisko mieszkającej tu ludności robotniczej. To stąd, z tych długich rzędów szeregowych domów z cegły pochodzi 5 milionów pracowników samego tylko przemysłu włókienniczego, obsługującego 1/3 ogólnej liczby czynnych na całym świecie wrzecion i tyleż mniej więcej krosien tkackich. Niedalekie, oddzielone tylko masywem wzgórz penińskich Lancashire z miastami Manchester i Bolton jest największym w świecie gniazdem przemysłu bawełnianego, Leeds i pobliskie Bradford słyną od wielu lat jako ośrodek zdystansowany dziś przez bawełnę, ale o wiele starszej i szacownej przez swą tradycję produkcji wełnianej.

Od „czarnego księcia“ do królowej Wiktorii

Tradycja i historia Anglii — to w dużo większym niż u nas stopniu tradycja i historia gospodarcza. Pomniki stawiają się tu nie tym co wygrali bitwy, lecz tym co pomnażali bogactwo tego kraju. W XIII wieku przemysł tkacki przeniesiony został z Flandrii na wyspy brytyjskie przez władcę, noszącego przydomek „Black Prince“ — „czarnego księcia“. Jego konny posąg wśród ciemnych, wielopiętrowych masywów banków i domów towarowych wynurza się z mgły porannej jak symbol miasta, będącego sercem „czarnej“ Anglii.



Wełna australijska, której transporty są jednym ze źródeł funkcjonowania brytyjskiego przemysłu wełnianego na wyspie.

Zwiedzamy fabrykę materiałów wełnianych Listera w Bradford, jedną z najstarszych i najznakomitszych w tej branży, mieszczącą się w szacownych lecz mocno nadgryzionych zębem czasu i mocno urągających nowoczesnej higienie fabrycznych budynkach. Oglądamy tysiące próbek tkanin w magazynach, setki deseni portier i obić o solidnych, mieszczańskich wzorach, takich samych jak te, które kryją ściany, fotele i kanapy solidnych, staroświeckich hoteli, jakie gościły nas w Nottingham, Birmingham, Leeds. Nic się tu nie zmieniło, jeśli chodzi o styl od czasów królowej Wiktorii i pierwszych Forsytów, wszystko pachnie jeszcze epoką narodzin i wielkiego triumfu cywilizacji przemysłowej, czasów, które stworzyły podwaliny tutejszych bogactw. Dziś wszystko to znamy z tysiąca mniej solidnych, lecz równie szpetnych kopii i naśladownictw produkcji maszynowej całego świata. Kiedyś było to przedmiotem pychy i zbytku wielkich, mieszczańskich fortun, dziś jest przedmiotem zestandaryzowanej i upowszechnionej potrzeby, zadawalającej zepsuty smak najszerszych mas.

W żłobku fabrycznym.



Budownictwo mieszkaniowe

Jedna z najbardziej palących kwestii powojennych, wyrastających w wielkich skupiskach Wielkiej Brytanii, i to nie tylko dotkniętych bombardowaniem, jak Londyn, lecz także i nieposzkodowanych jak Leeds, jest kwestia mieszkaniowa. Na szereg lat przed wojną władze miejskie Leeds zaczęły wyburzać ponure dzielnice robotniczych „slumpsów“, siedlisko chorób i nędzy, i zastępować je przez nowoczesne miejskie kolonie domów robotniczych.

Oglądamy jedną z nich, zbudowaną na parę lat przed wojną w samym centrum miasta. Przypomina w dużym stopniu budownictwo Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu w Warszawie, choć w wielu szczegółach ustępuje mu pod względem estetycznym. Te same duże bloki, budowane z jak największą oszczędnością miejsca, małe mieszkanka z wygodami, nowoczesne kuchenki, tylko za miast nieznanych tu pieców czy też centralnego ogrzewania — tradycyjne kominki ogrzewane gazem. Anglik nie wyobraża sobie bowiem ogniska domowego bez kominka. Nawet elektryczne piecyki wyrabiane są tutaj w postaci sztucznych kominków ze sztucznymi żarzącymi się węglami. Łagodny klimat wyspy czyni ten rodzaj ogrzewania zupełnie wystarczającym.

Centralna pralnia, centralna mechaniczna spalarnia śmieci, szkoła, kursy dla dorosłych, w jednym z pomieszczeń na parterze — żłobek, z którego wystawiono właśnie na podwórko szereg dziecinnych łóżeczek — oto mały wycinek tego światka, zamieszkałego przez trzy i pół tysiąca ludzi, uważających się za szczęśliwców, głównie dlatego, że czynsz płacony miastu w tych domach jest niewielki a położenie domów dogodne.

Trzeba jednak powiedzieć, że ta próba rozwiązania kwestii mieszkaniowej, jaką pokazano nam w Leeds, nie jest bynajmniej w duchu angielskim. Marzenie każdego Anglika od sfer najzamożniejszych począwszy a na najuboższych kończąc, — to mieszkanie w domku choćby najskromniejszym ale własnym. W tym kierunku idzie obecne, powojenne budownictwo prowizorycznych domków z gotowych części w Wielkiej Brytanii.

Ryszard Matuszewski

29 LISTOPADA W HISTORII ODRODZONEJ JUGOSŁAWII

W dniu 29 listopada zaprzyjaźniona z Polską Federacyjna Republika Jugosłowiańska obchodzi swe narodowe święto.

Dwukrotnie — w 1943 i 1945 r. — dzień ten stał się przełomem w historii narodów jugosłowiańskich.

W czasie walk partyzanckich tworzyły się konspiracyjne komitety ludowe, niosące pomoc partyzantom. W miarę wyzwalania coraz nowych obszarów przez oddziały partyzanckie, komitety te obejmowały automatycznie władzę w miastach i wsiach, stając się zaczątkiem władzy na danym terenie. Jesienią 1942 roku zawiązuje się centralny organ polityczny, tzw. Antyfaszystowskie Zgromadzenie Wyzwolenia Narodowego, w skrócie AWNOJ.

AWNOJ staje się parlamentem, najwyższym ciałem ustawodawczym Jugosławii — jego druga sesja, na której powzięto szereg doniosłych uchwał, przypada na dzień 29 listopada 1943 roku. Wybrane zostaje prezydium, składające się z przedstawicieli wszystkich narodów jugosłowiańskich, tworzy się Komitet Wyzwolenia Narodowego jako rząd tymczasowy z marszałkiem Tito na czele. Uchwały tej sesji sankcjonują strukturę władzy demokratycznej, decydują o ustroju państwa, określając jego federatywny charakter, zapewniający swobodę samostanowienia o sobie sześciu republikom opartym o zasadę narodowościową: Serbii, Chorwacji, Słowenii, Macedonii, Czarnogórzu, oraz Bośni wraz z Hercegowiną.

Po raz drugi dzień 29 listopada uwieczniony został w historii Jugosławii w roku 1945. W listopadzie odbyły się tego roku wybory do Konstytuanty.

29 listopada nastąpiło otwarcie pierwszej sesji nowowybranego parlamentu, połączone z uroczystym proklamowaniem Republiki Jugosłowiańskiej. Wielkim dziełem, jakiego dokonał ten, przez naród jednomyślnie wybrany parlament, była Konstytucja Federacyjnej Ludowej Republiki Jugosławii, uchwalona 31 stycznia 1946 roku.

Nowa spółdzielczość w nowej Jugosławii

Wykonanie naczelnego zadania — odbudowy gospodarczej kraju, postępuje niezwykle szybko, do czego przyczyniły się przede wszystkim głęboko sięgające reformy ekonomiczne: unarodowienie przemysłu, reforma rolna.

Struktura gospodarcza dzieli się na sektor państwowy, spółdzielczy i prywatny.

Słabe uprzemysłowienie nie sprzyjało rozwojowi spółdzielni miejskich, spółdzielczość przybrała charakter przede wszystkim rolniczy. Chłopi zakładali spółdzielnie kredytowe jako środek samoobrony przed wyzyskiem ze strony wielkich obszarników i pośredników.

W chwili obecnej ruch spółdzielczy rozwija się nie tylko na wsi, regulując głównie obrót między miastem i wsią oraz w postaci spółdzielni pszczelarskich, rybackich, mleczarskich, winnych itp. — w miastach, w miarę rozrostu ośrodków przemysłowych, tworzą się coraz liczniejsze spółdzielnie zaopatrzenia ludności pracującej miast — robotników i urzędników w żywność, odzież oraz przedmioty codziennego użytku. Ogólna ilość spółdzielni wynosi 12.000, z czego 9.000 działa na terenie wiejskim. Najsilniej rozwinięta jest spółdzielczość na terenie Słowenii, gdzie poziom życia ludności wiejskiej jest bardzo wysoki. Analfabetyzm jest zjawiskiem zupełnie nie istniejącym. Tam też powstał obecnie po wojnie niezwykle interesujący typ spółdzielni budowlanych, mających na celu ułatwienie chłopu odbudowę zniszczonych gospodarstw.

L. Zajączkowska

Partyzanci jugosłowiańscy rozbrajają Niemców.



W dniu święta narodowego Jugosławii młodzież jugosłowiańska manifestuje swoją radość z odzyskania niepodległości.



1831
ROZRACHUNKI LISTOPADOWE



(Dokończenie)

Zwyciężył egoizm klasowy uprzywilejowanej mniejszości w narodzie, a przegrywało powstanie. Bo oto gdy pierwotne nastroje rewolucyjne i płynące z nich nadzieje zrealizowania demokratycznych reform socjalnych wzbudziły entuzjazm mas ludowych dla sprawy powstania, gdy z początku sam powiat miechowski dał 60 tysięcy chłopskiego ochotnika, później w rezultacie echa obrad sejmowych, na wezwanie do pospolitego ruszenia zamiast entuzjazmu odpowiedział bolesny głos włościanina: „A pańszczyzna? — to my pójdziemy, a nasze żony i dzieci będą zabijać na pańskiem?!“.

Ten głos chłopa sandomierskiego cytuje w swoich pamiętnikach Henryk Bogdański, przytaczając i inny jeszcze wywód chłopski, bardziej może nawet ciekawy:

„Teraz, jak i za Kościuszki, jedna jest przyczyna naszego niepowodzenia, a tą jest niechęć panów — nie do oswobodzenia ojczyzny, bo i oni nienawidzą obecnego jarzma i chcieliby mieć swój kraj wolny, ale niechęć ich względem chłopów. Polska mogłaby przez chłopów uwolnić się od nieprzyjaciół tak za Kościuszki jak i teraz, ale panowie chcieli sami zwyciężyć nieprzyjaciela, choć przecież powinni byli to pojąć, że ich jest mało, a chłopów jak mrowia. Lecz obowiązek wdzięczności dla chłopów zmuszałby panów do ich uwolnienia po zakończeniu wojny, a nawet sami chłopi upomnieliby się o wolność. Otóż tego panowie nie chcieli, bo z utratą pańszczyzny i poddaństwa utraciliby dochody, które im zależność chłopów przysparza...“

Nie będziemy mieli Polski, dopóki jej chłopi nie odbiją, a nie odbiją jej, nie mając przekonania, że odbiją dla siebie. W tych słowach — przytoczonych za współczesnym pamiętnikarzem — mamy najistotniejszy wygłos „nocy listopadowej“. Jak żadne wywody demaskują one narodową, a raczej antynarodową rolę reakcji społecznej w tragicznych dziejach ostatnich dwóch stuleci naszej historii.

Ciężarem pańszczyzny przywaliła uprzywilejowana mniejszość te siły w narodzie, które jedynie mogły się stać ostatecznymi gwarantami zwycięstwa i zachowania niepodległości — siły masy ludowej

Demokracja w powstaniu listopadowym była za słaba, aby podołać zadaniu odwalenia szlachecko-arystokratycznej zawady, która się zwaliła na drodze narodu do wolności. Mieszczaństwo, które naówczas reprezentowało szeregi postępu w Europie, w Polsce nie stanowiło w 1831 roku poważnej siły. Proletariatu, klasy robotniczej — w dzisiejszym rozumieniu tego słowa — jeszcze u nas w tym czasie nie było, jeszcze się właściwie nie narodził. Najliczniejsza warstwa chłopska w jej warunkach społecznych nie stanowiła samodzielnie siły. W tych okolicznościach demokracja powstania listopadowego musiała być słaba, nie umiała wyłonić ze swoich szeregów kierownictwa dla powstania, nie potrafiła konsekwentnie zmierzać do swoich celów. Jedynie wyemancypowanie chłopów poprzez rewolucję mogło by zmienić ten układ sił.

Zdawał sobie z tego sprawę Mochnacki — i do tego zmierzał, zdawali sobie z tego sprawę i inni ówcześni demokraci. Stanowisko to demokracji sformułował ostatecznie po latach na emigracji paryskiej Henryk Kamieński, syn poległego pod Ostrołęką generała wojsk polskich, w swoich „Prawdach żywotnych narodu polskiego“, pisząc:

„Rewolucja ludowa, jedynie mogąca dać narodowi naszemu dość siły, bądź do odparcia najazdu, bądź do wydźwignięcia się z niewoli, jest zawsze główną kwestią Polski, o jej istnieniu stanowiącą...“

„Przemoc, która nas ciśnie, wszystkim Polakom nadaje przede wszystkim jeden główny, wspólny interes wyswobodzenia i tym właśnie w najściślejszą jedność spoić dąży wszystkie klasy narodu. **Na mocy tej jedności, rewolucja społeczna, która jedynie może nam dać siły do stargania obcego jarzma, rewolucja społeczna odbyć się musi wśród powszechnej narodowej jedności“.**

Tak pisał Kamieński około roku 1844 — sto lat temu.

A Mochnacki w dniu 2 lutego 1831 roku przypomniał w artykule zatytułowanym „Być albo nie być“, że Kościuszko zgubił sprawę, nie idąc za głosem Kołłątaja, który doradzał połączenie insurekcji zbrojnej narodu z rewolucją socjalną. Tymczasem rewolucja upadła i naród znów stoczył się w długą noc niewoli.

Poświęćmy jeszcze chwilę innej wymowie nocy listopadowej.

Powstanie 1830 r. wybuchło przeciwko Rosji, a nawet ściślej przeciwko władzy cesarza rosyjskiego, sprowokowane niejako brutalnym postępowaniem samodzierżcy Mikołaja I, namaszczonego i koronowanego króla polskiego. Ów „król polski“, znany w historii jako satrapa ludów swego imperium i żandarm Europy, nie liczył się z paragrafami konstytucji, na którą przysiągł, a brat jego, szaleniec — wielki książe Konstanty — namiestnik cesarza w Królestwie postępował sobie w ten sposób, że imię jego znienawidzone zostało w całej Polsce.



gen. Józef Chłopicki

Na tym tle warto przypomnieć wzajemne sympatie polskich i rosyjskich rewolucjonistów tamtych czasów.

W toku wojny polsko-rosyjskiej, w jaką przerodziła się insurekcja listopadowa — w dn. 25 stycznia 1831 r. — w dniu detronizacji przez sejm polski Mikołaja, w Warszawie odbył się uroczysty obchód uczczenia pamięci wymordowanych przywódców sprzysiężenia 1825 r. „dekabrystów“ — Rylejewa, Bestużewa, Pestla, Murawiewa — Apostoła i Kachowskiego.

Jaki był stosunek rewolucjonistów rosyjskich do powstania listopadowego, najlepszym tego wyrazem będzie przemówienie Michała Bakunina na paryskim obchodzie listopadowym w r. 1847, który się odbył pod przewodnictwem generała Dwernickiego.

„Dla mnie jako dla Rosjanina — mówił tam Bakunin — rocznica ta jest rocznicą wstydu. Tak, rocznicą wielkiej hańby narodowej! Powiadam to głośno: wojna z 1831 r. była z naszej strony wojną niedorzeczną, zbrodniczą i bratobójczą. Była to nie tylko napaść niesprawiedliwa na naród sąsiedni, był to zamach potworny na wolność brata. Było to jeszcze, panowie, ze strony mego kraju samobójstwo polityczne. Wojnę tę przedsięwzięto w interesie despotyzmu, a wcale nie w interesie narodu rosyjskiego, albowiem te dwa interesy są zupełnie sprzeczne ze sobą. Oswobodzenie się Polski było naszym zbawieniem: z waszą wolnością i my stawaliśmy się wolni; nie mogliście obalić tronu króla polskiego, nie wstrząsając tronem cesarza rosyjskiego... Dzieci jednego szczepu, nasze losy są nierozłączne, nasza sprawa powinna być wspólna. Wyście to dobrze zrozumieli, kiedy na naszych chorągwiach rewolucyjnych wypisaliście te słowa rosyjskie: za naszu i waszu wolnost, za naszą i waszą wolność!... Pogodzenie się Rosji z Polską jest dziełem bardzo wielkim i zaiste godnym jest tego, by zupełnie mu się poświęcić. Jest to oswobodzenie 60 milionów ludzi, jest to wyzwolenie wszystkich ludów słowiańskich, które jęczą pod jarzmem obcym, jest to wreszcie upadek ostateczny despotyzmu w Europie. Oby więc nadszedł ten wielki dzień zgody, dzień w którym Rosjanie połączeni z wami tymi samymi uczuciami, walcząc za tę samą sprawę i przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, będą mieli prawo zaintonować wraz z wami waszą pieśń narodową, ten hymn wolności słowiańskiej:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Z tego, co zostało dotychczas powiedziane, widzimy, że wymowa daty 29 listopada, jest istotnie i rozległa, i różnorodna i bogata w podźwięki bezpośredniej niemal aktualności. Współczesna demokracja polska nie jest głucha na ten głos historii, biegnący do nas przez stulecia. Współczesna demokracja wygrała, przekreślając zdecydowanie błędy bezpośredniej i dalszej naszej przeszłości historycznej.

Demokracja buduje potęgę Polski już nie na wątłych siłach „mniejszości“, która poprzez stulecia była u nas jedynie narodem, ale buduje na tych niewyczerpanych złożach energii, które drzemią w wielkich masach ludowych. Demokracja nie lęka się wyzwalać tej energii. gdyż nie zagraża ona w niczym ani jej interesom, ani narodu i państwa. Bo interes demokracji i interes narodu — to jedno.

W pierwszych szeregach demokracji idzie dzisiejsze wojsko polskie, pamiętne na tradycję owych „żołnierzy szeregowych i niższych stopni“, którzy w powstaniach narodowych. „męstwem zasłużyli się Ojczyźnie“.

Idzie w pierwszych szeregach demokracji, wierząc, że nigdy już nie stanie przed tragicznym dylematem nocy listopadowej, zawartym w słowach:

„Dziś twój tryumf, albo zgon!“.

Stanisław Ryszard Dobrowolski



Słynny z bitwy pod Grochowem pułk „czwartaków“.

Uchodzące z Warszawy wojska rosyjskie uprowadzają przykutego do działa Waleriana Łukasińskiego.



Obrady parlamentu spółdzielczego

Dwudniowe obrady Rady Nadzorczej „Społem“ poruszyły szereg zagadnień nie tylko najwyższej wagi bieżącej, ale i zasadniczej. Toteż prócz członków Rady i Zarządu obecni byli na posiedzeniu ministrowie Dąbrowski i Drożniak (jako członkowie Rady) oraz jako goście: min. Sokołowski, sekretarz generalny KCZZ K. Rusinek, dyr. Nauk Instytutu Spółdz. Kołodziejski. Sprawozdanie Zarządu, wygłoszone przez prezesa „Społem“ Żerkowskiego, podkreśliło znaczenie przełomowe zjawisk, w których powojenna spółdzielczość rozpoczęła prace i rozwija ją obecnie. Te zjawiska to: 1) zniesienie świadczeń rzeczowych, 2) przejęcie Zrzeszenia Młyńsko-piekarnianego, rozpoczynając przejmowanie przez „Społem“ przemysłu spożywczego, 3) akcja „Przemysł dla wsi“, 4) trzyletni plan odbudowy.

1. Zniesienie świadczeń rzeczowych uwolniło spółdzielczość od zadań, obcych jej roli, które podjąć musiała wobec braku organizacji, która by je wykonać mogła .Zbudowany wówczas aparat pozostał i jest wykorzystywany z pożytkiem wobec znacznego rozszerzania się działalności „Społem“.

2. Przejęcie Zrzeszenia Młyńsko-piekarnianego jest zgodne z ustawą o nacjonalizacji, wstępem do przejęcia przemysłu spożywczego, do obejmowania przez spółdzielczość dominującej roli w organizacji przemysłu rolnego, w obrocie między wsią a miastem, w ogarnięciu całej gałęzi zbożowej i przetwórstwa zbożowego, dla której Zarząd projektuje utworzenie Wydziału Zbożowego i Przetworów Zbożowych.

3. Akcja „Przemysł dla wsi“ zwana popularnie „Mm 50“ dokonała zbliżenia spółdzielczości do przemysłu i do wsi, przy czym okazało się, że aparatem gwarantującym największą sprawność i najniższe koszty, jest spółdzielczość.

4. Plan trzyletni, opracowany dla sektora spółdzielczego przez „Społem“ ustabilizuje pozycję spółdzielczości w demokratycznej gospodarce mieszanej, a wyzyskanie tej pozycji dla spółdzielczości i dla gospodarki narodowej zależy od sprężystości organizacyjnej.

Własne siły spółdzielczości — to moment wielkiej wagi, ale nie jedyny. Przyszłość spółdzielczości zależy poza tym od nastawienia politycznego i ustawienia fachowego. Fakt, że polska spółdzielczość zajmuje trzecie miejsce w świecie, jest świadectwem jej siły i treści społecznej. W demokratycznej Polsce spółdzielczość znalazła znacznie lepsze warunki pracy i rozwoju i nie ma w Polsce partii, która by spółdzielczość zwalczała. Toteż współpraca „Społem“ z partiami politycznymi układa się należycie, 150 tysięcy pracowników spółdzielczych to siła, która stoi mocno na gruncie demokracji. Ustawienie fachowe pozwala na optymizm, jeśli się weźmie pod uwagę, że na jednego pracownika „Społem“ przypada pół miliona obrotu, co jest dwukrotnie więcej niż w PCH czy innych organizacjach gospodarczych. Przedstawiając działalność gospodarczą, prezes Żerkowski podał, że obrót „Społem“ w ciągu b. roku osiągnie cyfrę 52 miliardów zł, a składają się nań: 16% towary reglamentowane, 35% — sprzedaż wolnorynkowa, 38% — monopole, 8% — UNRRA. W obrocie spożywczym odbiorcy prywatni stanowią 41%, instytucje — 12%, spółdzielnie 47%. Z wydziałów, pracujących w „Społem“ na czoło wysuwa się spożywczy, obejmujący 76% obrotów. Wydział rolniczy, mający jeszcze skromne cyfry obrotu, rozwija coraz bardziej swoją działalność.

Prezes Żerkowski podniósł w sprawozdaniu coraz większą sprawność organów inspekcji i kontroli. Na terenie Polski działa 186 instruktorów terenowych, z których 70 pracuje na Ziemiach Odzyskanych. Należyta praca placówek spółdzielczych zależy nietylko od ludzi, których kadry powiększa się stale przez szkolenie na kursach (odbyło się ich 43) i na turnusach wczasowych, w 11 ośrodkach kształceniowych, kursach korespondencyjnych, w których bierze udział 2150 osób. Ludzi trzeba uzupełnić odpowiednimi warunkami, w których mogliby pracować. To zagadnienie inwestycyj. Kosztem 45 milionów „Społem“ nabyło szereg nieruchomości. Dobrze zmontowany dział budownictwa oddaje placówkom spółdzielczym duże usługi. Ważny też jest problem pracowniczy, należytego ich uposażenia. Uposażenia w spółdzielczości są niskie i dlatego obserwujemy zjawisko odpływania specjalistów, opłacanych lepiej w innych instytucjach. W zakończeniu sprawozdania prezes Żerkowski przedstawił udział „Społem“ w innych organizacjach, a więc w Centrali Materiałów Budowlanych, Dalmorze, Rolmieście, Centrali Rybnej.

PLAN TRZYLETNI

W obradach Rady poza sprawozdaniem prezesa Żerkowskiego ze szczególną uwagą potraktowane były: plan trzyletni (wyczerpujący referat dr. Surzyckiego) i referat A. Rapackiego pt. „Miejsce spółdzielczości w gospodarce narodowej“.

Sprawozdanie z tych referatów zamieścimy w następnym numerze.

OD KUDOWY DO WIEŃCA



Na wysokiej przełęczy pomiędzy Gródkiem a Kudową. Najbardziej malownicze 40 km. Dolnego Śląska (fot. R. Burzyński)

Najpierw odkryli te ziemie szabrownicy, potem grupy operacyjne, potem zarządy, dyrekcje, centrale i zjednoczenia. Turystycznie rzecz biorąc, tak całkiem zwyczajnie, po ludzku, krajoznawczo, całe Ziemie Odzyskane są jednak dla nas w dalszym ciągu terenem całkowicie dziewiczym.

Przy wiosennym podziale miesięcy urlopowych dostał mi się wrzesień. Lubię ten miesiąc, bo oddawna zauważyłem, iż we wrześniu można postawić 100% na pogodę. A zamierzałem cały urlop poświęcić włóczędze po szosach ziem północnych lub zachodnich.

Przez całe lato czytałem skrzętnie całą prasę codzienną i tygodniową. Szukałem opisów i wskazówek, z których mógłbym się zarientować dokąd pojechać, co warto zobaczyć. Odnalazłem... bardzo wiele.

Diabelne tempo odbudowy naszego życia powojennego nie pozwoliło nam — jak widać — zainteresować się dotychczas tym, że na Mazurach znajduje się jedno z największych w Europie jezior, jezioro Śniardwy, wobec którego nadwileńska Narocz jest małym bajorkiem. Nikt jeszcze nie wie , jakie to nowe Jastarnie i Juraty



znajdują się na przestrzeni 400 kilometrów od Rozewia po Świnoujście, a co jest do zwiedzenia na Dolnym Śląsku.

Trzeba wszystko odkrywać samemu. Odkrywajmy.

Sprawa jest o tyle ułatwiona, że mam do dyspozycji mały śmieszny wózek na trzech kółkach, który przejechał zapewne już pół Europy od Normandii po Berlin, pod jakimś dzielnym Yankesem. Znać na nim niejedną kraksę. Via dobra ciocia Unrra trafił (legalną drogą) do mnie. Na wspaniałej autostradzie z Wrocławia do Lignicy rozwija fantastyczną szybkość... 70 kilometrów na godzinę. Ale chodzi jak anioł.

Autostrada jest wspaniała, ale nudna. Dopiero, gdy za Lignicą skręca się w boczną (też asfaltowaną) drogę na Złotorię i Jelenią Górę, zaczyna się robić przyjemnie. Z oddali szarzeją góry. Są zrazu niebieskie, potem ciemnieją, oddzielają się jedne od drugich. Dostają barwy ciemno zielonej, i zbliżają się daleko szybciej, niż mknie mój 350-centymetrowy Triumph. Zastanawiam się, czy na tak słabym wózku dam radę wedrzeć się w te wysokie góry. Pokonać trzeba będzie przecież niejedną serpentynę i wzniesienie. I nagle... niespodzianka niemal niesamowita. Na kilkanaście kilometrów przed Jelenią Górą zza któregoś z zakrętów szosy wyłania się przepiękny widok. Oto ściele się przed nami olbrzymia kotlina, obramowana z czterech stron świata wysokimi górami. W środku kotliny widoczne „jak na dłoni" wielkie miasto. To zapewne Jelenia Góra. Zamiast wdzierać się z sapaniem i postękiwaniem w góry, zamykam motor i bez gazu, w uroczej ciszy, zjeżdżam te ostatnie kilometry na łeb i na szyję na dno doliny. Wiraż ucieka za wirażem. Motocykl podobny jest raczej do bobsleja. Tylko opony skrzypią czasem na serpentynach.



Wszystkie szczyty, górki i pagórki Gór Olbrzymich kończą się takimi głazami. Geologowie na tej podstawie mówią, że Góry są bardzo stare i liczą około miliona lat.

U „tubylców" w Jeleniej Górze miałem zasięgnąć języka co do dalszych etapów wycieczki. Niestety okazało się to niemniej trudne, niż zdobywanie wiadomości turystycznych z prasy. Wpływa na to przede wszystkim brak dokładnych polskich map, a poza tym bezhołowie w zakresie nadawania miejscowościom polskich nazw. Dość powiedzieć, że najważniejsza miejscowość klimatyczna Dolnego Śląska zmieniła już trzy razy nazwę. Za niemieckiej niewoli był to Krumhuebel, potem Karpacz, teraz... Drogosławice. Natomiast stacja kolejowa byłego Karpacza, obecnie Drogosławic, zwie się... Krzywa Góra. Różne strumienie górskie, wodospady, doliny nie mają jeszcze w ogóle polskich nazw. Co tam! Nie rozstrzygnięte jest nawet, czy góry otaczające Jelenią Górę są Sudetami, Karkonoszami, czy Górami Olbrzymimi.

Wpadłem na następujący pomysł.

Szukałem po kioskach starych niemieckich pocztówek z widokami okolic. Gdy znalazłem coś ładnego z jakim wodospadem, lub jeziorkiem, wypytywałem tak długo w lewo i w prawo „gdzie to jest?" — aż otrzymałem odpowiedź. W ten sposób „odkryłem" przede wszystkim prześliczne jezioro przy zaporze wodnej w Pilichowicach, znajdujące się zaledwie o 15 km od Jeleniej Góry. Do Pilichowic urządza wprawdzie co niedzielę PTK wycieczki samochodem, jednakże dyżurny urzędnik tegoż Towarzystwa Krajoznawczego (!), mimo długiego szperania po mapach, nie potrafił mi wyjaśnić, którą szosą i przez jakie miejscowości można dotrzeć do Pilichowic samopas, własnym wehikułem.

Dwie są bezsprzecznie najładniejsze drogi na Dolnym Śląsku — jedna z Jeleniej Góry przez Szklarską Porębę do Wieńca Zdroju, druga z Nowej Rudy przez Gródek do Kudowy.

Spotkałem w Jeleniej Górze pewnego wybitnego kierowcę samochodowego, który nie po jednym jeździł kontynencie. Powiedział mi:

—Odcinek drogi ze Szklarskiej Poręby do Wieńca Zdroju mogę porównać z najpiękniejszymi okolicami... Kanady.

Nie byłem w Kanadzie i muszę wierzyć na słowo. Myślę jednak, że jest tu jeszcze ładniej niż w Kanadzie. Bo tu — u siebie. Wpadł mi w rękę stary niemiecki przewodnik po okolicach Jeleniej Góry. Ileż tam o polskości tych ziem! O tym naprzykład, iż Jelenią Górę założyli polscy książęta, stoi w niemieckim przewodniku „jak wół"! Hitlerowska cenzura nie była widać dość dokładna.

Nie chciałbym, aby niniejszy krótki felieton stał się nudnym przewodnikiem, odmierzającym odległości na centymetry.

Zróbmy raczej krótkie resumé.

Szosy bardzo różne. Od wspaniałych asfaltów, do niesamowitych dziur, wśród których motocyklem trzeba lawirować jak w czasie tańca wśród mieczów. Wioski i miasteczka rozsiane po drodze bardzo gęsto, a w każdej miejscowości conajmniej dwa zakłady reperacyjne, gdzie chętnie i niedrogo załatają „kichę", i dokręcą wszystkie śrubki. W małej wioszczynie, która do niedawna zwała się Hlondów, a dziś przerobiono ją (po raz 3-ci) na Wojciechów, czy jakieś inne Maciejowice, znalazł się nawet pięknie wyposażony warsztat tokarski, który „na poczekaniu", w ciągu trzech kwadransów wytoczył mi złamaną ośkę do motocykla. W Łodzi czekałoby się na to dwa tygodnie, w Warszawie — do zimy.



Rynek w Jeleniej Górze. Jak podają niemieckie przewodniki turystyczne — Jelenia Góra założona została przez polskich książąt śląskich. (fot. R. Burzyński)

W górach niemniej wygodnie. Wszystkie górki, góreczki, schroniska i stawy połączone wspaniałymi „ceprostradami". Można iść w góry z żoną, teściową i nieletnimi dziećmi. Nawet z nianką. Widziałem zapaleńca, który na największą górę Karkonoszy, Śnieżkę, (1605 metrów) wjechał... motocyklem. Na sam szczyt. Oczywiście była to młodzieńcza bufonada, powiedziałbym lekkie „kuku na muniu". Niemniej świadczy to o dostępności istotnie majestatycznych i nieraz groźnie z daleka wyglądających Gór Olbrzymich. Te góry będą niewątpliwie górami... demokratycznymi. Dla mas.

Wydaje mi się, że mimo nawału zagadnień przemysłowo-rolnych, rolno-ekonomicznych i ekonomiczno - przemysłowych, o których się teraz mówi, pisze i drukuje, powinniśmy napisać czasem i o tym, jak wspaniale niebieski jest Mały Staw pod Śnieżką, i jak pięknie płyną mgły poranne po lasach Kudowy. O tym, że w jeziorze pilichowickim przeglądają się białe obłoki, płynąc bezszelestnie od brzegu do brzegu, o tym, że nigdzie nie można tak wspaniale marzyć, jak u stóp romantycznych ruin zamku w Chojnastach. Ruin spowitych w niesamowite legendy o dzielnych rycerzach, o księciach Bolkach Śląskich, o walce i miłości...

Na Dolny Śląsk przyjść muszą nie tylko urzędy i dyrekcje, rozporządzenia i paragrafy. Przyjść muszą — serca. Te zwykłe, ludzkie, codzienne. Na miłość tych serc, na ich tęsknoty, na burze i ukojenia, czeka wielki, przepiękny, cichy kraj — Dolny Śląsk.

Roman Burzyński



Wieniec-Zdrój jest tak pięknie położony, że godzinami można stać na wieży Domu Kuracyjnego. (fot. R. Burzyński)

NAJWIĘKSZA TUCZARNIA GĘSI W KRAJU

Na terenie całego kraju mamy trzy wielkie tuczarnie gęsi: w Krakowie, Poznaniu i Lublinie. Największą z nich jest tuczarnia lubelska. Wszystkie te placówki zorganizowane zostały przez oddziały mleczarsko-jajczarskie „Społem".

„Społem" zakupuje gęsi na wolnym rynku w cenie od 250 do 380 zł za sztukę poprzez swoje oddziały terenowe. Gęś przeznaczona do tuczenia w ciągu 21 dni przebywa w ciasnej klatce, gdyż wtedy najlepiej się tuczy i jest odpowiednio karmiona. W tym okresie zjada przeciętnie 15 kg owsa. Do tuczenia najlepiej nadają się gęsi pomorskie i mieszane lubelskie. Waga gęsi po zabiciu i oskubaniu dochodzi do 5—6 kg, co należy uważać za wynik b. dobry. W ciągu całego sezonu roku ub. utuczono zaledwie 10.000 gęsi, podczas gdy w roku bieżącym około 50.000 sztuk. Dzienny ubój gęsi wynosi od 1.000 do 1.200 sztuk. Tuczarnia lubelska zatrudnia około 150 osób. Na razie tuczarnia pracuje na potrzeby rynku wewnętrznego, specjalnie dla okręgów przemysłowych. W przeciągu dwóch miesięcy wysłano na Górny Śląsk około 14.000 sztuk utuczonych gęsi.

Wspaniałe okazy gęsi w społemowskiej tuczarni w Lublinie.



NA LODOWCACH

Kilimandżaro

W dniu 27 października 1945 inż. Wiktor Ostrowski, członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego i uczestnik wypraw badawczych w Andy Argentyńskie i masyw Centralnego Kaukazu, w towarzystwie angielskiego korespondenta p. A. W. Parsonsa wszedł na szczyt Kibo, będący głównym wierzchołkiem masywu KILIMANDŻARO, najwyższej góry w Afryce. Kibo liczy 6010 metrów nad poziomem morza, to znaczy o 1145 metrów więcej niż najwyższy szczyt w Alpach — Mont Blanc.

Jechaliśmy z Billem wozem „safari" z Kenyi na południe Tanganyiki. Zepsuł się nam samochód. Akurat południe, słońce stoi prostopadle nad głową, cień chowa się wstydliwie pod stopami. Spękana, spalona na pieprz ziemia ziała po prostu żarem. Staliśmy tak w „buszu". Bezlistne kolczaste krzaki jego nie dawały żadnej osłony przed palącymi promieniami tropikalnego słońca. Od paru tygodni na niebie nie widzieliśmy chmurki — tożż z utajoną nadzieją spoglądaliśmy na bia-



Wyprawa ekspedycyjna na szczyty Kilimandżaro przedziera się przez dżungle.

ły, błyszczący obłoczek, przyczepiony do horyzontu. Może nadejdzie? Może wreszcie rzuci choć trochę cienia lub spadnie nawet deszczem?

Perspektywa dłuższego czekania, dopóki czarni kierowcy nie naprawią — lub do reszty nie zepsują motoru, nie była najprzyjemniejsza. Humory — pod zdechłym psem. Ciągle więc zwracaliśmy oczy w kierunku tej chmurki. Uparcie jednak trzymała się w jednym miejscu. Dopiero po pewnym czasie przyszła mi do głowy myśl; rozłożyłem mapę według stron świata, sprawdziłem odległość — około 80 kilometrów w prostej linii — i oznajmiłem, że ta „chmurka" nigdy nie urośnie na niebie, nie nadleci, bo to są... śniegi i lody na szczycie Kilimandżaro.

W Afryce jest sporo łańcuchów górskich, ale tylko trzy masywy sięgają ponad 5.000 metrów n. p. m; wierzchołki tylko trzech pokrywa wieczny lód i śnieg. Prawdziwy kaprys natury umieścił je wszystkie... niedaleko równika, pod najgorętszymi i najbezwzględniejszymi promieniami tropikalnego słońca. Wysokość jednak wygrała walkę z żarem słonecznym i... wieczny lód utrzymuje się na równiku.

Wszystkie te trzy olbrzymy leżą w Afryce Wschodniej; Rowenzori — na pograniczu Ugandy i Konga Belgijskiego, Mount Kenya — w Kenyi, i Kilimandżaro w Tanganyice. Ten ostatni jest z nich najwyższy. Wysokość jego na mapach angielskich nosi notę 19.565 stóp, co w przeliczeniu na metry daje 5.963, ale na mapach niemieckich Kilimandżaro ma wysokość 6.010 metrów. Nie warto jednak spierać się o taki drobiazg. Znacznie ciekawsze jest to, że masyw Kilimandżaro, dzięki swej wysokości nad otaczającą równiną „buszu", ma swój własny klimat, że stoki jego pokrywa wspaniała dżungla tropikalna, że wyżej ścielą się prawdziwe łąki alpejskie, potem skała, wyżej jeszcze — lód.

Kilimandżaro jest pochodzenia wulkanicznego. Ma dwa wierzchołki: niższy Mawenzi (5.359 m n. p. m.) i Kibo, będący ogromnym kraterem wygasłego w niedawnej bardzo przeszłości wulkanu. Istnieje nawet zdanie, że mimo wiecznych lodów czapą lśniącą kryjących Kibo i zalegających sam krater, wulkan nie wygasł zupełnie, że jest tylko „uśpionym" — czego dowodzą liczne fumarole i obfitość wydzielających się gazów.

To wszystko pamiętałem jeszcze z dawnej lektury alpinistycznej i powtórzyłem Billowi.

Wtedy w głowie mego przyjaciela powstał projekt:

— Wiktor! może spróbujemy?

Przyznam się, że propozycja ta mnie zaskoczyła. Jadąc do Afryki Wschodniej nie mieliśmy zamiaru zwiedzać masywy górskie Czarnego Lądu. Nie posiadaliśmy więc nawet cienia tego — co nazywamy ekwipunkiem wysokogórskim. Bill był w tych sprawach nowicjuszem, ja jednak mając za sobą doświadczenie i z Alp i z Kordylierów Ameryki Południowej, i z Kaukazu — zdawałem sobie sprawę, że próba wejścia na sześciotysięczny szczyt, choćby był „tylko" wygasłym wulkanem bynajmniej nie należy do przedsięwzięć prostych i... łatwych.

Do trudności terenowych nie przywiązywałem specjalnej wagi, ale z wysokością 6.000 metrów — nie ma żartów! Ciśnienie tam wynosi mniej niż pół atmosfery i powietrze jest ubogie w tlen. Praca na tej wysokości, choćby polegała jedynie na... podnoszeniu własnych nóg i dźwiganiu własnego ciężaru wyżej i wyżej — jest doprawdy CIĘŻKĄ PRACĄ, w dosłownym znaczeniu. Jest przedewszystkiem szaloną pracą serca. Brak dostatecznej ilości tlenu powoduje tak zwaną „chorobę górską" która ma wprost nieskończoną ilość objawów i jest chorobą bardzo indywidualną u poszczególnych osobników. Senność — lub właśnie bezsenność, bóle głowy, krwotoki z nosa lub gardła, męczące wymioty, zaburzenia zmysłu równowagi, silny spadek wagi, apatja — wymieniam tylko garstkę jej najbardziej charakterystycznych objawów, mogących występować w dowolnych „połączeniach"! By przezwyciężyć chorobę górską nie wystarcza mieć tylko bardzo silny i zdrowy organizm, trzeba przedewszystkim być „zaaklimatyzowanym", przyzwyczaić stopniowo organizm do przebywania na dużych wysokościach. Tej aklimatyzacji w podróży po Afryce naturalnie nie mieliśmy. Nabycie jej obecnie wymagałoby sporo czasu, którego też w nadmiarze nie posiadaliśmy.

Najgorzej przedstawiała się sprawa z „ekwipunkiem wysokogórskim". Stan jego, jak wspomniałem, równał się zeru, a przecież mróz na tej wysokości, szczególnie w połączeniu z wiatrem, może dobrze dać się we znaki. Przy chodzeniu po lodowcach, sama świadomość, że to są „afrykańskie" lody i śniegi nie wiele pomoże. Potrzebne są ostro podkute buty, lub tak zwane „raki", no i czekany. Skąd je wziąć?

Prócz tego, gdzieś wewnątrz człowieka, zakiełkowała myśl przykra, bolesna: 6.000 metrów wysokości... czy aby... po tyfusie, po szkorbutach i wszystkich przeżyciach lat ostatnich... czy serce, które kiedyś spisywało się tak dobrze... ale teraz? Czy da radę?

Trzeba długo uprawiać wspaniały sport, w Polsce taternictwem — za granicą alpinizmem zwany, trzeba bardzo kochać góry, by zrozumieć bolesność takiej myśli... takiej niepewności.

A jednak żyłka „wysokogórska" zwyciężyła. Drugi raz proponował Bill nie potrzebował. Pomysł włączenia w nasze „safari" próby wejścia na Kibo akceptowałem i natychmiast zaczęliśmy kalkulować potrzebny czas.

Bill podjął się zdobyć samochód, którym by dojechało się do masywu. Obliczyłem, że, nieuwzględniając przerw wynikłych ze zmian pogody, na samo wejście liczyć trzeba 4—5 dni. Na zejście od 2-ch do 3-ch. Musiałem poza tym zdobyć szczegółowe informacje co do warunków terenowych, no i zebrać co się da z ekwipunku.

Rzucony raz projekt puścił głębokie korzenie. Postanowiliśmy spróbować — za parę tygodni, w drodze powrotnej z Zanzibaru.

I spróbowaliśmy.

Nasi przygodni znajomi w Dodoma, Dar es Salaam czy nawet w samym Zanzibaskarpetkach, podkutych butach, wełnia-



Na Kilimandżaro starym zwyczajem tubylcy dekorują kwiatami kapelusze zdobywców szczytu.

nych rękawicach. Spoglądano na nas podejrzliwie, czasami z nieukrywaną trwogą i współczuciem. Raz zaproponowano mi zażyć chininy, zatroszczono się, czy



Mapa południowo-wschodniej części Afryki.

rze nieraz musieli dziwić się nagłym skokom w rozmowach. Ocierając spływający z czoła pot, chłodząc się pod kręcącym się bezszelestnie u sufitu wiatrakiem — nagle rozpoczynaliśmy mówić o... ciepłych

aby nie mamy ataku malarii lub czy stan nasz nie wskazuje na porażenie słoneczne...

A to po prostu Kilimandżaro z głowy nam nie wychodziło.

W drodze powrotnej z Dar es Salaam niepokoiła nas bardzo pogoda. Padały krótkie ale ulewne deszcze; wszystko wskazywało na to, że pora „krótkich deszczy" nadciągnęła tego roku znacznie wcześniej. Jazda samochodem przez busz do Dodomy mogła się zakończyć tragicznym utknięciem w rozmokłym na czerwoną papkę gruncie lub zgoła przed... nowopowstałą rzeką. Ten odcinek trasy wynosił blisko 500 kilometrów i był bardzo rzadko uczęszczany.

Na szczęście Dar es Salaam ma połączenie kolejowe z Dodomą, więc załadowaliśmy samochód na platformę pociągu towarowego i tak pożegnaliśmy się z wybrzeżem Oceanu Indyjskiego.

Było to jednocześnie ucieczką przed deszczami, jako że w głębi Tanganyiki jeszcze trwała sucha pora.

Przed samym dojazdem do stóp Kilimandżaro miałem głupią przygodę: od paru dni dokuczał mi wrzód formujący się pod paznogciem nogi. Nie bolał wprawdzie zbytnio, ale rósł nieomal w oczach i wyglądał obrzydliwie. Wstąpiliśmy więc po drodze do naszego osiedla w Tengeru i tam, w szpitalu, pocieszono mnie, że to po prostu... pchły ziemne obrały sobie palce mojej nogi jako miejsce do złożenia swoich jajek!

Krótki zabieg i — wydziobano mi tę jajecznicę, ale w wyniku „operacji" w palcu pozostała krwawiąca dziurka wielkości dobrego ziarnka grochu. W chodzeniu to nie pomagało zupełnie a raczej, mówiąc delikatnie, utrudniało je. Ale co było robić? Na czekanie nie mieliśmy już czasu. Pora deszczowa wisiała w powietrzu.

„Safari wysokogórskie" zorganizowaliśmy w hotelu „Kibo", niedaleko Mochy.

Trzeba powiedzieć, że biały człowiek podróżuje po Afryce w dość specyficznych warunkach. Na góry wspina się — również. Otóż musieliśmy wynająć całą ekipę tragarzy.

C. d. n.

Wiktor Ostrowski



Marsz przez łąki alpejskie. W głębi — szczyt Kibo. (fot. W. Ostrowski)

AKADEMICY RADZĄ



Prezes Bratniej Pomocy U. Ł. ob. Rajkiewicz na mównicy. W prezydium siedzą od lewej prof. Łapicki, prezydent Mijal, rektor prof. Kotarbiński, rektor prof. Stefanowski

(fot. J. Płażewski)

Konferencja młodzieży akademickiej Łodzi.

Nie wszyscy umieją dzisiaj zdobyć się na zupełnie obiektywną obserwację środowiska studenckiego. Jedni traktują je nadal, jako uległe narzędzie, którym łatwo się posłużyć; inni widzą w nim element zdecydowanie reakcyjny, antydemokratyczny.

„Czas skończyć z legendą o reakcyjności naszych uniwersytetów" — powiedział niedawno prezes Tow. Przyj. Młodzieży Szkół Wyższych ob. Sokorski. Koniec legendy uwarunkowany jest tylko szczerym rozładowaniem obustronnych nieufności.

Temu celowi poświęcona była Konferencja Młodzieży Akademickiej w Łodzi, odbyta dnia 24 listopada br. Doceniając istotne znaczenie Konferencji, obiecał wziąć w niej udział ob. premier Osóbka-Morawski. Niestety nawał prac państwowych nie pozwolił mu na przyjazd do Łodzi, wobec czego władze państwowe reprezentował prezydent m. Łodzi, ob. Mijal.

Język młodego pokolenia cechuje przede wszystkim szczerość. Jeśli prowadzi ona niekiedy do starć, to z drugiej strony przynosi również wyjaśnienie sytuacji.

Starcia takie istotnie były nieuniknione, co się tłumaczy znacznym jeszcze bagażem uprzedzeń. Dlatego też sens Konferencji nie polegał na ciekawych i rzeczowych sprawozdaniach z międzynarodowego zjazdu studentów w Pradze, oraz krajowego w Warszawie. Natomiast żywy oddźwięk wywołał trzeci z kolei referat, poświęcony „reakcyjności" uniwersytetów. Gorąca dyskusja, która się następnie wywiązała, pozwoliła na obnażenie wszystkich bodaj drażliwych tematów.

Były i inne akcenty, tyczące spraw ściślejszych. A więc sprawa rozdziału stypendiów. A więc powiązanie niektórych stypendiów Zjednoczeń Przemysłowych z obowiązkiem odpracowania pewnego quantum czasu w danym przemyśle. A więc sprawa wydziałów Uniw. Łódzkiego, na których obowiązuje numerus clausus: stomatologicznego i lekarskiego. Uwagę powszechną wzbudziła zwłaszcza sprawa tego ostatniego, którą referował rektor U. Ł., prof. dr. Kotarbiński, wyjaśniając m. in., iż w bież. roku akademickim na 150 miejsc — w drodze normalnego egzaminu konkursowego obsadzono zaledwie 63 miejsca (na 560 kandydatów), gdyż reszta zastrzeżona była dla słuchaczy kursu wstępnego, bądź obsadzana wprost przez ministerstwa.

Bardzo źle jest ze zdrowotnością. W tym roku na 5 tys. zbadanych przez akademicką przychodnię przeciwgruźliczą, wykryto 391 wypadków tej choroby. W tych smutnych cyfrach widać w całej pełni niszczący wpływ wojny.

Konferencję zamknęła replika ob. Mijala na wysunięte pytania, w której obiecał on pomoc w bolączkach materialnych.

J. Pł.

OBYWATELSKI CZYN INWALIDÓW WOJENNYCH



W niedzielę 22 bm. złożył w ramach zjazdu inwalidów wojennych płk. Kiełczyński wice-prezydentowi Grabskiemu w Belwederze milion złotych, zebranych wśród członków na Daninę Narodową i 32.000 zł. zebranych wśród uczestników zjazdu.

TYDZIEŃ WIĘŹNIA POLITYCZNEGO



W związku z „Tygodniem Więźnia Politycznego" w Warszawie odprawiona została na Pawiaku msza św. Na zdjęciu złożenie wieńca przez więźniów politycznych.

ODSŁONIĘCIE TABLICY KU CZCI LOTNIKÓW KANADYJSKICH



Stolica Polski oddała hołd pięciu lotnikom kanadyjskim, którzy 5 sierpnia 1946 r. lecąc do Polski z podarunkiem penicyliny, zginęli w katastrofie lotniczej pod Halle w Niemczech. Na gmachu szpitala wojskowego przy ul. 6 Sierpnia odsłonięto tablicę pamiątkową, nad którą umieszczono godła Kanady i Polski.

Pan Morris Mc Dougall w przemówieniu swoim zapewnił, że śmierć tych lotników i pamiątkowa tablica, mogą być uważane jako symbol uczuć narodu kanadyjskiego i dumy, że kanadyjczycy byli towarzyszami broni walecznych żołnierzy polskich.

(fot. E. Brzozowski)

Od Administracji:

Ogłoszenia do numeru świątecznego przyjmuje Administracja do dnia 12 grudnia br. Numer świąteczny ukaże się w zwiększonej objętości i w większym nakładzie.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI w porozumieniu z PUWF i PW rozpisało konkurs na rzeźbę o motywach sportowych. Nagroda 100 tysięcy zł. Jest to pierwszy krok w kierunku przygotowań Polski do zbliżających się Igrzysk Olimpijskich w 1948 roku w Londynie. Bowiem na Olimpiadach obok konkurencji sportowych istnieje dział sztuki traktowany na równi, jeżeli chodzi o złote medale zdobywane przez sportowców. Artyści polscy mają szerokie pole do popisu.

WIELKI TURNIEJ BOKSERSKI O DRUŻYNOWE MISTRZOSTWO POLSKI, rozpocznie się w najbliższych dniach. Mistrzowie poszczególnych okręgów podzieleni zostali na dwie grupy. W grupie warszawskiej znajduje się Poznań, a w grupie łódzkiej Śląsk. Po skończonych rozgrywkach w grupach odbędą się spotkania finałowe. Najwięcej szans zdobycia tytułu mistrza drużynowego Polski posiada ŁKS, który walczyć będzie w następującym składzie: Stasiak (Olczyk), Pawlak (Stolecki), Marcinkowski (Kierus), Bonikowski, Olejnik (Kasznia), Pisarski (Rychtelski), Żylis (Jutnicki) oraz Niewadził. Najgroźniejszymi przeciwnikami ŁKS w pierwszej serii zawodów będą bokserzy Śląska, a w drugiej zawodnicy Warty i Grochowa.

PRZEDOSTATNI MECZ PIŁKARSKI z cyklu rozgrywek o mistrzostwo Polski odbył się w Chorzowie między AKS a ŁKS. Zwycięstwo odniosła drużyna śląska 5:0 (2:0) bijąc zdecydowanie zespół mistrza Łodzi. Bramki dla AKS zdobyli Pytel, Zajfert, Barański i Spodzieja (2). Publiczności około 10 tysięcy. Ostatni mecz o mistrzostwo Polski odbędzie się 1 grudnia w Warszawie między Polonią a AKS. Tabelka mistrzostw przedstawia się następująco: 1) Polonia 7 pkt na 5 rozegranych spotkań, 2) Warta 6 pkt na sześć rozegranych meczów, 3) AKS 5 pkt na 5 meczów, 4) ŁKS 4 pkt na 6 spotkań.

J. N.



Fragment meczu piłkarskiego o mistrzostwo Polski w Warszawie, rozegranego w dniu 17 listopada br. pomiędzy poznańską Wartą a stołeczną Polonią, zakończonego wynikiem 2:2. Na zdjęciu: emocjonująca sytuacja pod bramką Warty.

Spokój piramid zakłóca zapach nafty



W pobliżu piramid Ghizeh, niedaleko Kairu odkryto bogate pokłady naftowe. (Illustrated News London)

Z DALEKIEGO WSCHODU



W północnych Chinach trwają ciągle walki między wojskami komunistycznymi a rządowymi, przy czym ostatnio wzmógł się nacisk wojsk komunistycznych. Na zdjęciu: kolumny ewakuacyjne studentów chińskich kierują się na południe kraju. (Ilust. News London)

Tak Grecy tańczą jak im Anglicy zagrają

Oddziały Szkotów, stacjonujące w Grecji, przywiozły ze sobą słynnych kobziarzy, którzy przygrywają do tańca greckim gwardzistom i szkockim żołnierzom. (Illustrated News London)



Po święcie rewolucji październikowej



Czołgi sowieckie typu „Józef Stalin" podczas defilady w Moskwie w dniu święta rewolucji. (Ag. Z.S.R.R.)



W defiladzie wzięły udział również oddziały wojennej szkoły morskiej. (Ag. Z.S.R.R.)

Przymusowa kwarantanna

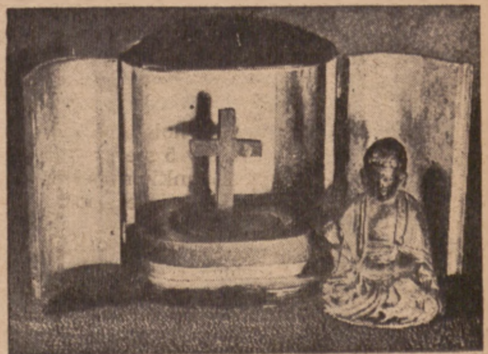


W związku z zatrzymywaniem przez władze brytyjskie nielegalnie przybywających do Palestyny — Żydów i internowaniem ich na wyspie Cypr, zaszła konieczność rozbudowania przygotowanych dla nich pomieszczeń. W obozie na Cyprze przebywa już ponad 7000 Żydów. Na zdjęciu: widok obozu z lotu ptaka. (Ilust. News London)

Symbole religijne pierwszych japońskich chrześcijan

Na zdjęciu posążek Buddhy, wewnątrz wydrążony, dla ukrycia symbolu chrześcijaństwa — krzyża. Posążek ten datuje się z czasów gdy wyznawanie chrześcijaństwa było tępione przez władców Japonii. (Life)





NIEDZIELNA ZABAWA

(Urywki z powieści)

...Zamkniętym w murach robota wypadła na końcu terenu. Bloki więzienne mieli daleko za sobą, a przed sobą — przestrzeń. To, że oczom naprzeciw nie wybiega ściana, było już wiele. Ale tę ścianę oni właśnie mieli wznieść, nie z cementu, lecz z paru równoległych zapór. Żelazne szyny sterczały niby wielkie haki, zakrzywione u góry. Pomiędzy nimi rozpościerać musieli więźniowie druty, najeżone kolcami. Drut leżał w szpulach ogromnych, wysokości człowieka; gdy go odwijano, kaleczył palce. Ręce więźniów puchły i wzbierały ropą, lecz dozorcy nie zważali na to. Ranami i wrzodami musieli ludzie przybijać zasieki. Ten drut, który już teraz często nieuleczalnie zakażał, sprowadzał, gdy włączono prąd wysokiego napięcia — śmierć.

Kobiety pracowały niedaleko, przy zasiekach. Widać było ich zgięte postacie, grzebiące-coś w ziemi. Nic już w nich nie świadczyło o świeżości. Wychudłe widma o okrągłych czaszkach, głowy wygolone, mające jakby białe maski zamiast twarzy, pochylały się nad motyką. Najczęściej z rozkazu esmanek, zwrócone plecami do miejsca pracy mężczyzn — bodły ziemię jak wiedźmy.

Z kobiecego terenu wychodziły często myszy, teraz w lecie — polne, zawieszały się na drutach, niby nuty na pięciolinii i zdychały. Skąd się wzięły? Płoszyły je pełne siły i porywcze psy, wilki. Dozorczynie i postmanni mieli przy sobie te spasione zwierzęta. Psy czuły swą wielką przewagę nad więźniami. Rozumiały, że na dany znak miały się rzucać, gdyby która z pracownic chciała się wysunąć z szeregu i zbliżyć do drutów. Jeśli w drodze jaka kobieta ośmieliła się iść wolniej, stawały na dwóch łapach przy niej, wysokie, jak człowiek, i łatwo dosięgały jej gardła. Hierarchia została tu całkowicie zamieniona — przez ustalenie nadrzędności zwierzęcia.

Psy obiegały gromadkę idących lub wracających z roboty więźniów, szczekały głośno, gdy kogo zabrakło. Miały swoich wybrańców i tych, których nienawidziły. Węszyły komu by dokuczyć. Kobiety dozorujące w obozie chodziły zawsze z psami, a zwierzęta rozumiały, że trzymane są po to, ażeby znęcać się nad więźniami. Niemki kapo pilnujące polskich dziewcząt, powołane były spośród przestępczyń kryminalnych. Mundury ich oznaczone zostały trójkątem zielonym, gdy polityczne miały oznakę czerwoną. Wyręczały się one często psami, miały je też do własnej obrony i ozdoby. Wilczury strzegły przy robocie skazane, umiały także codziennie, z baraku będącego dawniej stajnią, spod podłogi wyciągać kobiety. Chore starały się ukryć między deskami pryczy a ziemią i tam zostać. Tresowane psy wydobywały z najgłębszego cienia i wlokły zębami te, które się chowały. Jedna dziewczyna, mała Rut, szczególnie się bała psa, zwanego Tod.

Teraz wygrzebywały więźniarki rozmokłą ziemię — może pod słupy graniczne, może na groby. Nie wiedziały nic. Niedaleko, u drutów pracowali mężczyźni — jednakowo udręczeni; — przecież stawali się czujni na sąsiedztwo widm kobiecych —, i choć nie wolno było mówić ani dawać znaków—to, że są blisko siebie oni i one budziło czujność ich instynktu. Rut miała tam swego Jakóba. Lecz psy stały na przeszkodzie każdego ruchu i spojrzenia. Westchnienie nawet budziło ich warknięcia; złośliwe i triumfujące — wietrzyły wszędzie zmowę.

...Nastała pora deszczów, najcięższa w Brzezinkach. Teraz kobiety dźwigały w worach żwir, bez celu. Tak grząska była droga w błocie, że gubiono w nim obuwie, a koła oblepionych ziemią taczek nie chciały się obracać. Jeżeli który z więźniów upadł, to w grzęzawisko. Za człowiekiem nie szedł wtedy essemann, tylko jego pies. Judził, straszył, gryzł. Okrutne, mądre zwierzęta nie ustępowały w zawziętości swym panom. Umiały liczyć ludzi. Niby owczarki obiegały gromadę idących i ujadały, dając znać straży, gdy kogoś zabrakło. Wilczury miały swoje uprzedzenia; jak kapo — szukały zaczepki, ażeby wykazać swoją władzę nad tymi, których strzegą.

...Pewnej dżdżystej niedzieli kobiety odbywały karne roboty na bliskim im terenie. Żydzi pracowali niedaleko przy wysokim nasypie; po obu stronach wystąpiła głęboka woda. Więźniowie pchali taczki z gruzem, które zsuwały się po rozmokłej glebie. W takie dni słotne najczęściej załamywali się, udręczeni. Cienie ludzkie wlokły się w szarudze. Niejeden otarł zabłoconą ręką pot i na policzkach zostawały mu czarne, śmieszne plamy.

Tej niedzieli usłyszano nagle wesołe okrzyki. To przyjechali na świąteczną wycieczkę essesowcy, ich kobiety i ich psy. Panie chciały się przyjrzeć pracy więźniów. Ustawiono więc ich szeregiem przy taczkach, ażeby zedemonstrować zwiedzającym oficerom pracę więźniów. Lecz więźniowie nie mieli sił iść dziarsko ani popisywać się sprawnością; sunęli pomału, korowodem widm. Komendant nie był z tego zadowolony. Niespodziewanie zarządził wyścig.



Mary ludzkie zaczęły się posuwać coraz prędzej...

— Biegnąć po nasypie, — rozkazał.

Mary ludzkie zaczęły się posuwać coraz prędzej na wysokim zrębie ziemi. Lecz było to za wolno dla tych, którzy chcieli się bawić. Pewien essesmann poszczuł wilczura. Pies ugryzł w łydkę jakiegoś Żyda. To ubawiło wojskowych gości. Zwrócili się do dam, czy pozwolą? Pozwoliły wesoło. Wówczas wypuszczono z tyłu na więźniów całą zgraję psów. Psy, spuszczone ze smyczy, pędziły jak niegdyś ogary na zwierza, zjeżone, groźne, piękne w skoku, gdy rzucały się na człowieka. Dozorczynie kobiet i postmanni chętnie posłali i swoje zwierzęta. Dlatego więźniarki miały większą swobodę i Rut mogła patrzeć, jak Jakób...

— Prędzej, prędzej — poganiali Niemcy: — bo psy was zagryzą. Kto pierwszy dobiegnie do mety, dostanie nagrodę!

Kukły ludzkie ruszyły sztywnie i trwożnie. Po krawędzi wzniesienia biegli rzędem niepewni, doganiani przez psy. Z oślizgłej gliny osuwały się taczki, pełne kamieni; kilka z nich stoczyło się wlokąc w przepaść więźniów. Ci, co nie mogli nadążyć, gryzieni byli w pośladki, łydki, stopy. Więc uciekali w strachu.

Był to dla Niemców widok komiczny. Toteż podniecali swoje zwierzęta. Często parę psów dosięgało jednego więźnia. Wszystkich biegnących ogarnęła panika. Posuwali się na oślep — byleby dalej. Podczas tego coraz częściej w czeluść błota spadały ciała bezwładne. Właśnie Jakób mocował się ze stojącym na dwóch łapach psem Tod, aż się zsunął...

Zwiedzający goście bawili się coraz weselej... Przedstawienie się udało. Umierający doskonale zastąpili klownów. Pewna chuda Niemka stanęła na dachu auta, ażeby lepiej się przyjrzeć.

Niejeden z więźniów wolał grząskie dno śmierci w mule, niż kły wilka i urągowisko; coraz częściej taczki zabierały ze sobą w otchłań ich bezwładne ciała. W wodzie powoli zamierali ludzie. Niektórych odnajdywały niesyte zabawy wilczury i wywlekły z wody już tylko zwłoki. Inne psy, dorodne, zwycięskie, pełne pychy ze spełnionego zadania, leżały rzędem na ziemi przy swoich panach, czekając nagrody. Tymczasem zwiedzający zabierali się do odjazdu. Parę niemieckich pań rzuciło bułki między zgraję psią i ludzką: — kto pierwszy chwyci.

Halina Maria Dąbrowolska

Dnia 15 grudnia r. b. ukaże się specjalny numer naszego pisma, poświęcony książce i wydawnictwom w Polsce powojennej. Numer ten wyjdzie w znacznie powiększonym nakładzie, a na treść jego, obok dotychczasowych działów, złożą się artykuły, omawiające ostatnie wydawnictwa, szczególnie gwiazdkowe.

Szczecin — najmłodsze miasto akademickie

Szczecin szybko odnajduje swoje polskie oblicze. Kisielewski w swojej „Ziemi" pisał, że to miasto „niemieckie" było podminowane niejako pogrzebaną tu polskością. Dzisiaj ta polskość odradza się żywiołowo. Ludność polska liczy już kilkadziesiąt tysięcy. Element główny, stanowią Wielkopolanie.

Siła atrakcyjna Szczecina wynika przede wszystkim z jego położenia. Mając przed sobą nie byle jakie perspektywy, wyczuwane przez napływający element ludzki, Szczecin nie ma jeszcze własnego ośrodka kulturalnego.

Lecz oto jesteśmy świadkami powstawania szczecińskiej Almae Matris w postaci Akademii Handlu Zagranicznego.

Jak to się stało?

Ministerstwo Żeglugi i Handlu łącznie z Ministerstwem Oświaty zaprosiły na konferencję w Szczecinie przedstawicieli instytutu Zachodniego, Instytutu Bałtyckiego oraz wyższych uczelni ekonomicznych: warszawskiej, krakowskiej, poznańskiej, b. lwowskiej W.S.H.Z. (obecnie w Sosnowcu) i Akademii Handlu Morskiego w Sopocie. Konferencja pod przewodnictwem prof. Wacława Jastrzębowskiego uchwaliła: w Szczecinie powstanie Akademia Handlu Zagranicznego, mózg stosunków gospodarczych Polski ze światem. Wszystkie wymienione wyższe uczelnie przyrzekły zasilić nowy ośrodek swoimi siłami fachowymi i pomocami naukowymi. Co więcej: poznańska Akademia Handlowa która już posiada w Szczecinie swoją filię, liczącą 2 tysiące studentów, postanowiła tę filię potraktować jako komórkę przyszłej Akademii szczecińskiej. Na przyszły rok filia Poznania wejdzie w skład nowej Akademii. Wszystkie uczelnie patronujące nowej, przyrzekły świadczenia jak najbardziej istotne, rzeczowe. Najwięcej ofiarowała b. lwowska W.S.H.Z. Uczelnia ta osiedliła się wraz z posiadanymi pomocami naukowymi w Sosnowcu i tam miała wznowić swoją działalność, albowiem wyższa uczelnia handlowa w Sosnowcu ma poważne uzasadnienie. Niemniej racja stworzenia ośrodka naukowego handlu zagranicznego w Szczecinie zwyciężyła. Przedstawiciele „eksportówki" postanowili zrzec się własnej odrębności na rzecz Szczecina. Deklaracja ich o przekazaniu 10 tys. tomów biblioteki b. uczelni lwowskiej na rzecz Akademii szczecińskiej, oraz zrzeczeniu się na korzyść tejże Akademii przyznanych przez Ministerstwo kredytów wywołała powszechne uznanie i radość.

Municypalność Szczecina ofiarowuje gmach na pomieszczenie Akademii oraz dzielnicę mieszkaniową. Zapowiada się, że Akademia szczecińska stanie się ośrodkiem skupiającym dokoła siebie życie umysłowe i prace badawczo-naukowe Wybrzeża.

Od i do Redakcji

P. Marta Siemiątkowska w Gdyni. List doręczyliśmy p. kpt. Ognistemu.

P. Tadeusz Kwaśniewski w Częstochowie. Nadesłany artykuł wykorzystamy.

P. Maria Młynicz-Gallina w Elblągu. Przy okazji częściowo wykorzystamy.

P. Zofia Jasińska w Warszawie. Nie skorzystamy.

P. inż. Jerzy Żukowski w Kielcach. Nadesłany materiał w najbliższym czasie wykorzystamy.

P. Janina Nowicka w Radomiu i P. Stefania Ostrowska w Poznaniu. Podajemy w dzisiejszym numerze część przysłów o mężczyznach, nie wiemy tylko czy Panie będą z nich zadowolone.

P. Stanisław Pagaczewski w Krakowie. W najbliższym czasie wykorzystamy.

P. R. Szarycki w Toruniu. Nadesłaną bajkę możliwe, że wykorzystamy.

P. Walery Przyborowski w Warszawie. Nadesłane materiały wykorzystamy. O Kamerunie narazie nie.

P. Antoni Wicher w Laskach pow. Kozienice i P. Kazimierz Ogrodziński w Połczynie Zdroju. Brakujące numery wysyłamy.

ERRATA

W części nakładu Nr 20 „Tygodnia" w artykule pt. „Wybory w styczniu", na str. 7-ej pod podobizną Ignacego Daszyńskiego omyłkowo podano „pierwszy marszałek Sejmu", powinno być „trzeci marszałek Sejmu".

KRONIKA KULTURALNA

PENELOPA Morstina, wystawiona obecnie przez Teatr Polski w Warszawie, jest sztuką rozkoszną, taka jest, jak się zdaje, zgodna opinia i recenzentów i publiczności. Wielka kultura humanistyczna i klasyczna Morstina pozwoliła mu na skomponowanie (jak sam powiada) „igraszki", której istotę stanowi splot dwóch wątków: homerycko-mitologicznego i aktualnego. Po wojnie trojańskiej powracali mężowie do domów, i dziś po drugiej wojnie światowej powracają również. Wówczas czekały na nich Penelopy... Tak by się zdawało. Penelopy raczej zawsze i wszędzie stanowiły wyjątek, były ideałem żony. Klasyczna starożytność ujęła ten ideał w znanej formułce: dobra żona „siedziała w domu, przędła wełnę, mówiła mało, żyła w czystości". Należy przypuszczać, że dziś takiego ideału nie tylko nie ma, ale żaden mężczyzna nie zgodziłby się wziąć takiego ideału do domu. Kobieta nie może być dziś tzw. gęsią. Musi być sprytna i obrotna. Musi tu zahandlować, tam zaszabrować, bo mąż nie mógłby sam związać końca z końcem. Przy takim trybie życia „czystość" bywa zapewne narażona na szwank, ale wielka znawczyni obyczajów — Wanda Melcer — już przed wojną dowodziła, że nawet żądanie dziewictwa od panny młodej jest przeżytkiem i barbarzyństwem.

SZTUKA Morstina nie moralizuje, i na tym polega jej wdzięk. Teatr Polski wogóle unika morałów, jak widać z jego repertuaru zeszłorocznego i z projektu repertuaru na sezon bieżący (por. artykuł dr. Aleksandra Gutry w Nr 20 „Tygodnia"). Teatry łódzkie — przeciwnie: wystawiają jedną po drugiej sztuki z morałem: „Wielkanoc", „Stary dworek", obecnie — „Powrót posła". Ten ostatni, acz napisany w r. 1791, uległ moralizatorstwu, dorobiono do niego umoralniający „Prolog", w którym „Obywatel" i „Patriota" pouczają „Warchoła", jak trzeba kochać Ojczyznę; wreszcie dosztukowano do niego nieprzewidziane przez Niemcewicza zakończenie, w którym poczciwy obszarnik tańczy poloneza z hożą chłopką, a zacna obszarniczka śpiewa z parobczakiem duet patriotyczno-społeczny. Powstało coś w rodzaju mickiewiczowskiego „kochajmy się"! Innymi słowy tzw. „piece à these".

PIECE A THESE to znaczy: sztuka z tezą. A teza to znaczy pewne z góry powzięte twierdzenie, które musi być udowodnione i zostało udowodnione: quod erat demonstrandum. Mogą być sztuki z tezą, chodzi tylko o to, jak się tezę przeprowadza: zgrabnie czy niezgrabnie, rozkosznie czy niedźwiedziowato. Jesienią r. 1938, gdy odbywały się w Polsce wybory do Sejmu, wystawiano w niektórych teatrach również sztukę z tezą: była to „Tekla" Jerzego Kossowskiego, napisana specjalnie państwowotwórczo. Rzecz działa się w środowisku chłopskim. Język chłopski bohaterów był rzeczywiście przepyszny, nieporównanie doskonalszy i prawdziwszy od tego, jaki dziś propaguje chłopska „Wieś" Jana Aleksandra Króla chłopków. Tezą „Tekli" była „praca". Uosabiał ją na nieszczęście dzielny policjant ozonowy, który w ostatnim akcie sztuki obejmował komendę nad biernymi chłopkami, zachęcając ich do podciągnięcia się wzwyż. Rzecz kończyła się również śpiewem chóralnym. „Tekla" wystawiona była znakomicie, z wielkim nakładem kosztów, a jednak widownia świeciła pustkami, i sztuka po kilku przedstawieniach spadła z repertuaru.

OPRÓCZ BOWIEM „pièces à these" istnieją jeszcze w teatrze tzw. „pièces de resistance" czyli sztuki odporne na różne przeciwności, wytrzymałe, wodoszczelne i nieprzemakalne, sztuki mające zawsze powodzenie, sztuki na których opiera się repertuar. Ludzie teatru mówią o takiej sztuce, że jest kasowa, że robi kasę, że idzie, że zawsze będzie szła. Nie potrzebują to być koniecznie sztuki stare, „żelazne", które przeszły próbę czasu — np. „Grube ryby" z Solskim albo „Pan Damazy" z Zelwerowiczem, gdzie starość sztuki wzmacnia jeszcze stary jubilat. Mogą być całkiem nowe i świeżutkie. Trzeba je tylko umieć napisać i wystawić. Morstin, jak się zdaje, posiada nie od dziś sekret pisania „pièces de résistance, autor zaś „Starego dworku" dajmy na to, sekretu tego jeszcze się nie nauczył.

St. Łatka

Ofiary wpłacone w Administracji „Tygodnia"

Na gwiazdkę dla biednych dzieci:

P. Karolina Chawłowska z Łodzi — 100 zł.

Na odbudowę Warszawy:

P. Bolesław Olszewski z Wrocławia — 50 zł.

Znaleziono w dniu 23 listopada br. w Łodzi na ul. Andrzeja — woreczek damski, który jest do odebrania w Administracji „Tygodnia".

MĘŻCZYZNA W PRZYSŁOWIACH POLSKICH

Przysłowia ludowe o mężczyznach nie odznaczają się taką ciętością i złośliwością jak o kobietach, być może dlatego, że przeważnie autorami przysłów byli mężczyźni. Toteż te, które powstały znajdują swe źródło w przestrogach udzielanych przez rodziców dzieciom, w opiniach wypowiadanych przez sąsiada o sąsiedztwie, w dosadnej ocenie pewnych wad ludzkich itp.

Utyskiwania ludzi żonatych na swoją dolę jako małżonków spowodowały utworzenie przestróg dla kawalerów i żonatych, jak np.:

KAWALER

Kawaler jak szklanka, a buzi daje jak ciele.

Jakiem był kawalerem, tom w cztery konie latał, a jakiem się ożenił, tom buty czapką łatał.

Kawaler, aby był trochę ładniejszy od diabła, to już dosyć ładny.

Młodzieniaszki strzeżcie się dziewuchy i flaszki.

Jak się kawaler ożenił, uszy na dół opuścił.

Nie chwal chłopcze dnia przed wieczorem, a dziewczyny przed rankiem.

But bez pary i kawaler stary — na nic się nie przyda.

Nie doczeka starości, kto hula w młodości.

Nie jeden kawaler zęby zedrze, nim stary z nóg się zwali.

MĄŻ

Nie dobrze tam, gdzie mąż żonie w garnki zagląda.

Nie dobrze tam, gdzie mąż w spódnicy, żona w gatkach chodzi.

Mąż i żonka, to jedna kieszonka.

Mąż bez własnego zdania, nocleg bez posłania, most bez poręczy — gorsze niż sen zajęczy.



U dobrego męża żoneczka jak róża, a u złego draba, we trzy lata baba.

Mężowi się dać żonie zwyciężyć nie godzi, szpetnie kiedy kokosz koguta za łeb wodzi.

Zły mąż — gorszy jak wąż.

Nie ma na świecie małżonka, na którego nie krakałaby żonka.

Gdzie mąż stary, żona młoda: każe czepiec, słucha broda.

Ożenić się: tydzień dobrze, wieprza zabić: miesiąc dobrze, księdzem zostać: zawsze dobrze.

Gdzie mąż nie wszystko słyszy, żona nie wszystko widzi, tam zgoda w małżeństwie.

Kiedy mąż żony nie bije, to w niej wątroba gnije, a kiedy ją przechlasta, to w niej wątroba przyrasta (lepiej tego obecnie nie stosować).

Mąż rogaty oddaje diabłu żonę w swaty.

Kto nie zna co bieda, żona go nauczy i nauczą dzieci, chciało ci się żony, niechże ci się świeci.

Mąż mowny, a kot łowny, jedną drogą chodzi.

Choć mąż taki jak żaba, zawsze tęższy niż baba.

Póty mężowska żałoba, póki nie wstawią żony do groba.

Ostatni to kot, co przy jednej dziurze siedzi.

Mężczyzna, który w rozmowach plecie koszałki opałki, ma niezawodnie kiełbie we łbie.

WDOWIEC

Wdowiec, kiedy weźmie ciebie, co chwila nieboszczkę wygrzebie.

Wdowiec z wdową zawsze dobrze z sobą

U wdowca znajdzie się baran i owca.

Kto idzie za wdowca, to beczy jak owca.

Niektóre wady ludzkie, jak: skąpstwo, pijaństwo, lenistwo, łakomstwo itp. wyszydzane są dość złośliwymi określeniami.

SKĄPIEC

Skąpiec dla drugiego zbiera, a sam głodem przymiera.

Skąpiec zbiera, diabeł worek szyje.

Skąpiec podobny do żuka, w gnoju dla się karmy szuka.

Na skąpych wszyscy diabli kraczą.

Skąpy zawsze w nędzy, choć ma dosyć pieniędzy.

Skąpy liczy pieniądze, nie żeby wydał, ale żeby schował.

GŁUPI

Między mądrymi, głupi najwięcej mówi.

Głupi biega, mądry chodzi.

Głupi znajdzie głupszego, który go pochwali.

Żeby głupich nie było, toby mądrzy pomierali.

Mądremu dać w pysk i drzwi otworzyć, to sam wyjdzie, a z głupim trzeba się pozamotać, żeby go wypchnąć.

PIJAK

Często pijak tęgi, podobny do włóczęgi.

Co pijany zje, a mały schodzi, to na jedno wychodzi.

Pijakowi wszystko wódką pachnie.

Pijanemu świat w koło chodzi.

Pijany i dziecię — prawdę plecie.



Mężowi się dać żonie zwyciężyć nie godzi.

Święty świętego tak nie kocha, jak pijak pijaka.

Więcej niedbal przeniedba, niż pijak przepije.

LENIWY

Leniwy marznie przy robocie, a jak je, to cały w pocie.

Chromy cierpliwy dalej zajdzie, niż zdrowy leniwy.

Leniwemu robota idzie jakby wodę w przetaku nosił.

Leniwy zawsze myśli o spaniu.

ŁAKOMY

Łakomy, skąpy i świnia ,to po śmierci zwierzyna.

Łakomy i Pana Boga by sprzedał.

Nie czeka łakomy, aż się dopiecze.

Łakomy i zazdrosny zawsze się nienawidzą.

PYSZNY

Pyszny wyżej gębę niż nos trzyma.

Jest fortel na pysznego, nic nie dbać o niego.

UPARTY

Uparty jak kozioł w kapuście.

Dwóch upartych trudno pogodzić.

Upartego i kijem nie przekona.

Rzemiosła i wolne zawody niemniej złośliwie są przedstawiane, oto niektóre z nich:

PIEKARZ

Piekarz — Boże go nie karz, robi bułeczki niczym aptekarz (na czasie).

Najlepszemu piekarzowi, czasem się chleb nie uda .

SZEWC

Szewc, im lepszy majster, tym gorszy pijak.

Szewc, kiedy się na skóry zadłuży, podeszwami wypłaca.

Tyle szewca zysku, co wyciągnie skórę w pysku.

KRAWIEC

Krawiec sługa Boży: jednemu weźmie, drugiemu dołoży.

Dobry krawiec to i patykiem zeszyje.

Tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

Krawiec bez spodni, szewc bez butów chodzi.

MALARZ

Malarz dobry napisu nie kładzie, a zły musi.



Więcej zyska malarz co pięknie twarz maluje niż ten co podobnie.

KUCHARZ

Kucharza, który z głodu umrze, nie chowają na cmentarzu.

Dobry kucharz, to z byle czego legumine zrobi.

Choćby kucharz muchę gotował, to skrzydełko z niej urwie dla siebie.

STOLARZ

Gdyby nie klej, nie piłowiny, nie jadłby stolarz słoniny.

Stolarz hebluje, kowal kuje, a kiep kpi.

Wobec tego, że przygotowuje się do druku „Encyklopedię przysłów polskich" — prosimy naszych czytelników o nadsyłanie przysłów, ciętych powiedzonek, zwłaszcza z okresu minionej wojny, życia obozowego itp., które zostaną wykorzystane w ogólnym zbiorze, przy czym w miarę możności należy podać pochodzenie, względnie gdzie zostało usłyszane i użyte.

M. B.

MODA W MIESZKANIU

Urządzenie mieszkania stało się „kopciuszkiem" w hierarchii potrzeb, domagających się zaspokojenia. Tak,jak dbamy o ubranie i wygląd zewnętrzny, tak samo na wielką dbałość zasługuje wnętrze choćby najskromniejszego mieszkania.

Już przed okupacją toczyła się zacięta walka między starym, a nowoczesnym wnętrzem. Architektura współczesna wypierała te wszystkie urządzenia, które były wrogami światła, powietrza i estetyki. Racjonalnie urządzone mieszkanie, ładne i celowo obmyślone meble stwarzają komfort, mający na celu ułatwienie i uprzyjemnienie codziennego życia mieszkańców, choćby kosztem niewielkich inwestycji.

Zbliżające się święta Bożego Narodzenia są doskonałą okazją, aby jakimś miłym sprzętem wypełnić lukę w dotychczasowym urządzeniu. Taca—stolik na kółkach, lampa rzucająca łagodne światło w ulubionym kąciku, estetyczna półka na książki lub kwiaty ,ciekawie pomyślana toaletka potrafią przyozdobić, jeśli nie cały pokój, to przynajmniej jego fragment.

Na zdjęciu przedstawiającym część sypialni na wyróżnienie zasługuje stolik—toaletka dla pani. Nawet w największym pośpiechu można kilkoma ruchami doprowadzić toaletkę do porządku, opuścić lusterko-blat, zasunąć boczne szufladki i już nie ma śladu, że był tam „nieporządek miły". Czas najwyższy, aby sprzęcik ten zamówić u stolarza.

Naturalnie nie zapomnijmy o komplecie kosmetyków...

Barbara Malanowicz

KUPON 13

Zagadka Nr 13 — 3 punkty

nazwisko i imię

adres

rozwiązanie

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Powyżej reprodukujemy prawie zupełnie nieznany kasownik Generalnego Gubernatorstwa, używany w czasie powstania warszawskiego. W związku z zajęciem poczty głównej przez powstańców, dla pozostałych w Warszawie urzędów niemieckich została uruchomiona placówka pocztowa na placu Piłsudskiego, używająca datownika z napisem. „Warschau—Postamt Adolf Hitler Platz". Po upadku powstania urząd ten został zlikwidowany.

CZECHOSŁOWACJA. W październiku wydano serię znaczków dobroczynnych na rzecz reemigrantów słowackich, powracających z Węgier o wartościach: 1 k 60 h + 1 k 40 h 2 k 40 h + 2 k 60 h i 4 k + 4 k.

WŁOCHY. W uzupełnieniu opisanej w poprzednim numerze serii reprodukujemy dwa dalsze znaczki z serii republik włoskich: 1 l w kolorze sepia (Republica di Amalfi, IX—XII w.) i 2 l w kolorze niebieskim (Republica di Lucca, XII—XVIII w.). Do obiegowej serii doszła nowa wartość w kolorze czerwonobrunatnym o nominale 50 l. **(wo).**

Reprodukowany kasownik i znaczki pochodzą z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

KOMUNIKAT

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała redakcja „Szpilek“ (Łódź, ul. Piotrkowska 96) za nadesłanie wiersza „Wieczór w mieście“, wyjętego z czytanki na kl. II szkół powszechnych pt. „Wśród dzieci“ S. Baczyńskiej, A. Kowalewskiej i H. Wojciechowskiej (Warszawa 1946).

WIECZÓR W MIEśCIE

Suną tłumy ludzi —
pokończyli prace,
ten idzie do domu,
a tamten na spacer.
Tamci do teatru,
inni znów do kina —
wieczorne gazety
wtyka im chłopczyna.
„Robotnik“, „Głos Ludu“!...
Krzyczy wniebogłosy.
Oj, trudno zarobić
jaki taki grosik.
Tu mkną samochody,
tam dzwonią tramwaje,
A kto chce pojechać,
Na przystanku staje.

Na marginesie zacytowanego wiersza, redakcja „Szpilek“ zadaje kilka pytań: 1) Dlaczego „Robotnik“ i „Głos Ludu“ nazwane są gazetami wieczornymi, gdy są to gazety poranne? Do wieczornych należą: „Życie Warszawy — Wieczór“ i „Express Wieczorny“. Nie można wprowadzać w błąd małych dzieci. 2) Dlaczego chłopczyna „wtyka“ przechodniom gazety, a nie sprzedaje normalnie, i dlaczego ma zarobić jaki taki grosik? Czyżby gazety nie miały nabywców? Tym sposobem dzieci w szkole powszechnej mogą powziąć mylne wyobrażenie o poczytności prasy w Polsce. 3) Dlaczego w wierszyku reklamowany jest tylko „Robotnik“ i „Głos Ludu“, a nie na przykład „Rzeczpospolita“ — najstarsze i rządowe pismo w odrodzonej Polsce? Borejszy będzie przykro. A może to dyskretna reklama płatna? W takim razie nie podano jej właściwie i propagandowo, skoro gazety trzeba „wtykać“: powinny być rozchwytywane. 4) „A kto chce pojechać, na przystanku staje“. Racja: trzeba stanąć, ale potem trzeba koniecznie wsiąść do tramwaju. Umysłowość dziecka wymaga, aby wszystko miało pointę i ostateczny wniosek — happy end. W danym wypadku dziecko gotowe myśleć, że pasażer stoi na przystanku i stoi, bo tramwaje są tak zapchane, że nie można się do nich dostać, ani nawet uczepić. Pedagogicznie i propagandowo wierszyk powinien mieć jakieś radosne zakończenie. Redakcja „Szpilek“ proponuje następujące:

Potem w tramwaj siada,
Bilecik kupuje,
Gazety rozkłada
I pilnie studiuje.

Może wyraz „studiować“ jest trochę za mądry dla dziecka ze szkoły powszechnej, ale to już rzecz nauczyciela, żeby znaczenie jego wyjaśnić. Nauczyciel też musi pokręcić głową. Od czegoż się jest nauczycielem?



Anegdoty historyczne

Z GŁUPIM ŹLE ŻARTOWAĆ

Stanisław Czarnkowski (1526—1602), referendarz wielki koronny i marszałek sejmu lubelskiego w r. 1569, cierpiał na podagrę. Dręczony jej napadami, w wielkim bólu zwykł był częstokroć te słowa mówić:

— Przebóg, dobij kto, a odpuszczę!

Trafiło się, iż leżąc w tej chorobie, miał przy sobie tylko jednego sługe — Tatarzyna Kamarady. Ten, słysząc co pan wykrzykuje, ofiarował mu się z posługą.

— Panie — powiada: — daj ty mi bachmata, a każ mię wolno do hordy puścić, a ja ciebie zarżnę jak prosisz.

Referendarz obaczył się, że z tym źle żartować.

— Dobrze — powiada:. — Kamarady, ale zawezwij tu kogo do mnie, żebym mu rozkazał ,aby cię po mojej śmierci należnie wyprawiono i wolno puszczono.

Zawołał Tatarzyn kilku sług. Dopiero referendarz z przestrachu otrzeźwiał i kazał Tatarzyna do wieży zamknąć. A sam potem był ostrożniejszy.

POWRÓT GRETY GARBO



Któż z nas nie widział na ekranie Grety Garbo Gustaffson, albo przynajmniej nie słyszał o niej? W ubiegłym miesiącu ta urocza niegdyś aktorka filmowa przybyła do Szwecji, rodzinnego swego kraju, tym razem podobno na dłużej, zniechęcona do kina. Nic więc dziwnego, że u brzegów Szwecji powitał ją tłum rodaków oraz liczni reporterzy i fotografowie, którzy zasypywali ją gradem pytań: „Czy to prawda, że ma wyjść w Szwecji za mąż?“, „czy to prawda, że ma nagrywać w Szwecji film?“. Odpowiedź była jedna: „zatęskniłam do domu, chcę odpocząć“. Tej wypowiedzi nie dają jednak wiary niektórzy dziennikarze, którzy twierdzą, że Greta Garbo ma poślubić jednego z bogatych fabrykantów szwedzkich.

Niewątpliwie najbliższa przyszłość wyjaśni, czy b. królowa ekranu skończyła swoją karierę filmową i pozostanie w ojczyźnie, by w spokoju spędzić resztę życia, czy też istotnie sprawy miłosne i nowe małżeństwo było celem jej podróży.

Na zdjęciu: Greta Garbo w samochodzie w towarzystwie reżysera filmowego George P. Schlee. (Post)



Zagadka trzynasta

W I E L K I K O N K U R S FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia“ — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia“. Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Wyniki konkursu podamy w numerze 26 z datą 29.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników trzynastą z zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 3 punkty).

Zagadka Nr 13

Jest jeden taki dzień w roku, kiedy to napewno na obszernym dziedzińcu majestatycznej fary można zrobić takie właśnie zdjęcie. Jest to, jak powiedział jeden z pisarzy, najbarwniejsze widowisko, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Fotografia jest, niestety, jednobarwna, ale możemy wierzyć przytoczonej opinii. Szkoda, że ten jedyny w roku dzień jest tak krótki. Co to za dzień?

WARUNKI KONKURSU

W numerze 17 ogłosiliśmy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Dziś podajemy piąte i szóste zadanie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.

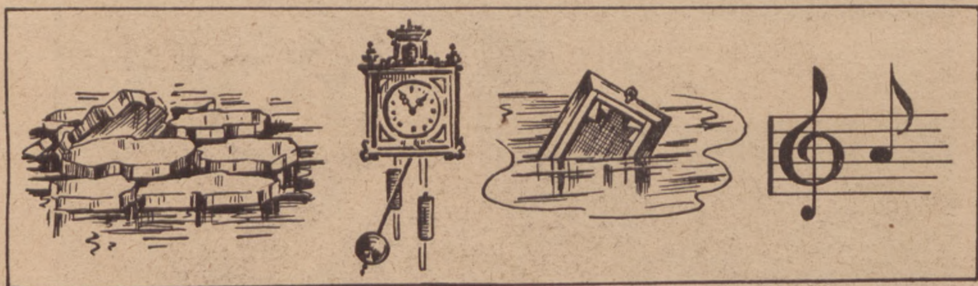
DRUGI KONKURS „TYGODNIA“
NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

LOGOGRYF

Do podanej obok figury należy wpisać 13 pięcio-literowych wyrazów. Rząd środkowy da rozwiązanie.



Znaczenie wyrazów: 1) Szeroki rów pełen wody. 2) Powieść Gojawiczyńskiej. 3) Uczeń szkoły wojskowej. 4) Wódz plemienia dzikich. 5) Zarząd gminy wyznaniowej żydowskiej. 6) Samica żubra. 7) Zespół ludzi, poświęcający się wspólnemu zawodowi. 8) Odrobina, kruszyna. 9) Rodzaj gry. 10) Hałas, wrzask. 11) Rodzaj sprzączki ozdobnej. 12) Napój musujący, wyrabiany z mleka klaczy. 13) Pokrywa.



PORTRETY POLITYCZNE



Ślizgacz

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011150